Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 46

JAN KUDELKA

Poeta smutków wieczornych

(Feliks Przysiecki)

W ubiegłym miesiącu literatura polska poniosła ciężką stratę. Zmarł, Feliks Przysiecki, indywidualność ciekawa i niesłusznie zapomniana. Choć ze „Skamandrem" był luźno związany, niemniej jednak atmosfera literacka tego czasopisma, odegrała ważną rolę w jego twórczości. Wszak pierwszy i jedyny tomik poety „Śpiew w ciemnościach" wychodzi dopiero po wojnie w roku 1921, a większość utworów tam pomieszczonych, drukowana była pierwotnie w „Skamandrze".

Debiut literacki poety wypadł dosyć późno, bo dopiero w 37 roku życia. Już to samo zadecydowało do pewnego stopnia o charakterze jego poezji. Są to utwory człowieka już właściwie dojrzałego, który wśród przyjaciół skamandrowych przeżył niejako swoją drugą młodość. W poezjach Przysieckiego znalazło wyraz osobliwe skrzyżowanie nastrojów Młodej Polski z hasłami i formą nowej poezji. Stapia się w nich mistyczny symbolizm modernizmu z realistycznym nawskróś urbanizmem i futuryzmem pierwszych lat powojennych. Obok rymów typowo młodo - polskich w rodzaju: mórz — zórz, cuda — ułuda, marzeń — zdarzeń tułacze — płaczę i w ogólności upodobania do wyrażeń abstrakcyjnych, wielokrotnie zjawiają się zestawienia już zupełnie nowoczesne, świadczące o bezpośrednim podejściu do rzeczywistości.

Sam poeta zdawał sobie zresztą sprawę z tej swojej osobliwej struktury mówiąc, że jest „pobitym w życiu weteranem, co błądzi, jak banita wśród obcego świata".

Poezje Przysieckiego mają charakter wybitnie osobisty, egotyczny. Zakres tematów jest dosyć *wąski*. Stale powtarza motyw *wieczoru* lub *nocy*. Jest to zrozumiałe, jeśli zważymy, że wieczór jest dla poety wytchnieniem po żmudnej pracy dziennikarskiej w „Kurjerze Warszawskim", po owym „na cudzą korzyść zmarnowanym dniu".

„Chwilo wieczorna, wyspo ukojenia,
Ziemio zachodnia na burzliwym dniu!
Ku tobie codzień, padając z znużenia,
Płynę wysiłkiem ostatniego tchu".

Takie westchnienie wyrywa się z piersi poety, kiedy znajdzie się wreszcie u siebie w domu. Praca dziennikarska zżerała jego siły, absorbowała jego myśli, pochłaniała jego talent, nie dozwalając mu się należycie rozwinąć. Dopiero wieczór mógł poeta poświęcić wyłącznie dla siebie. To też można po wiedzieć, że poeta widzi miasto tylko rano i wieczorem, kiedy idzie do redakcji i wraca stamtąd.

Nic więc dziwnego, że wieczór jest głównym tematem jego utworów, jest kanwą, na której poeta snuje swoje pomysły. Wieczór nadaje jego poezjom specyficznego tonu. Gnany tęsknotą wymyka się poeta wieczorem z domu, by krążyć po ulicach i patrzeć z żalem jak inni korzystają z uciech życia lub marzyć v cieniu kasztanów, w parku miejskim, przy świetle księżyca. Lecz i wieczór nie jest dla poety zbyt łaskawy. Właśnie wieczorem najboleśniej uprzytamnia sobie swoją *samotność* i *opuszczenie*, zwłaszcza kiedy spojrzy na swoje ubranie, na wytarty surdut, „na kapelusza kryzę połamaną". Ulgę znajduje wtedy we *wspomnieniach młodości*, młodości promiennej, która odeszła. Przypominają mu się schadzki z kochanką, szpargały wierszy po kątach, postaci przeczytanych powieści — cała poezja młodości w połączeniu z egzotyzmem książkowym i marzeniami, o podróży w nieznane kraje, którą później tak wspaniale rozwinie we „Wróblach na dachu" i „Wielkiej Niedźwiedzicy" *Kazimierz Wierzyński*. Szczególnie plastycznie odtwarza Przysiecki nastrój tęsknoty za miłością minioną, za ukochanemi kobietami we wierszu pt. „Ręce":

I jawią się nademną jakieś znane dłonie,
Załamane w patosie cierpienia i mąk
I zwolna w pustym mroku na ciemnej zasłonie
W urwanych gestach miga coraz więcej rąk...
Znam, pamiętam... Te niosły rozkoszne pieszczoty,
A te chciwie toczyły młodzieńczą mą krew,
Tamte dziś mi ślą jeszcze smutny znak tęsknoty,
Te nazawsze zacisnął ponury, zły gniew.

Cóż zostaje poecie, zasłuchanemu w takie głosy, i zapatrzonemu w takie wizje minionej przeszłości, oprócz smutku i płaczu?

Motyw *łez* jest nader charakterystyczny dla tego zbiorku. Nie wykluczone, że są to łzy *konwencjonalne*, że to tylko motyw literacki, tak popolity w okresie symbolizmu. Zdaje się jednak, że są to często łzy szczere, łzy prawdziwe. Przynoszą one poecie ukojenie, są niemal przyjemne, — jak sam określa — *klejnoty* łez.

Do motywów *miłosnych* dołącza się motyw *grzechu i winy*, tak ulubiony w epoce Młodej Polski, stopiony w dziwny amalgamat z motywami *rimbaudowskiemi*.

Obok tego wielką rolę w poezji Przysieckiego odgrywa problem *własnej twórczości*. Dręczy poetę niepokój o własną wartość, o własną indywidualność. Jak wyrzut ciążą mu niedokończone wiersze. Z niepokojem zapytuje sam siebie: „Kto jestem?" Zdaje mu się, że prześladuje go jego własny cień który skądsiś się doń przybłąkał, by knuć przeciw niemu tajemną zmowę, i spełniać w jego imieniu złe czyny. To znów zdaje mu się, że ktoś czeka nań po nocach za węgłami domu, że gnieździ się w jego książkach, we wnętrzu zegara, kładzie podpis na niedokończonych wierszach, przesiąka przez ściany do jego pokoju. Nastroje te, zakrawające na manję prześladowczą, przypominają tematy nowel *Grabińskiego* i *niesamowite* opowieści *Edgara Poe*.

Pesymizm poety, jego niewiara w życie znalazły piękny wyraz w wierszu pt. „Dziwacy", w którym opowiada o tajemniczych manjakach, wynalazcach. poetach — ludziach, którzy wierzą, że w człowieku jest „inne niż czyny — dążenie", że niewspółmierność między teorją a praktyką jest wynikiem tylko jakiejś złośliwej intrygi (czyjej?...).

Rolę tych marzycieli — fantastów tak określa poeta:

„Jesteście zapomnianą na mapie krainą
Błądzącą po tym świecie legendą i wieścią,
Świętym portem dla marzeń, które w życiu giną,
Jesteście zaginioną, cudowną powieścią".

To samo, co później wyrazi Wierzyński w „Pieśniach fanatycznych":

„I zawsze kochać będą — tylko poeci".

Tkwi w tem niewiara w możliwość poprawy świata i stosunków społecznych, doszukiwanie się przyczyny zła w rejonach metafizyki. Ucieczka od rzeczywistości w krainę mistycznych marzeń.

Dzięki owemu smutkowi, cały zbiorek robi wrażenie monotonji, zwłaszcza, że i metryka jego jest mało urozmaicona. Zaletą natomiast poezji Przysieckiego jest duża plastyka wyrazu oraz dźwięczność i potoczystość wiersza.

W najistotniejszej treści artystycznej Przysiecki pozostanie, jak się sam określił, „poetą bez twarzy", „pobitym w życiu weteranem"....

Przegląd wydawnictw

„Ruch Literacki". — Polski Słownik Biograficzny

Dopiero teraz wyszedł spóźniony zeszyt „Ruchu Literackiego" (Nr. 6) za czerwiec 1935. Józef Birkenmajer, badacz hymnologji polskiej, drukuje artykuł o „Hymnie do Bogarodzicy" Stanisława Ciołka. Stanisław Laskowski pisze o „Aluzjach politycznych w *Argenidzie* W. Potockiego". Dalej artykuł Marji Syszko-Bohusz „Drużbacka i Skarga". Mieczysław Giergielewicz recenzuje rozprawę Stefanji Skwarczyńskiej pt. „Rozwój wątków i obrazów w twórczości Mickiewicza" (Lwów 1934). Tadeusz Mikulski omawia rozprawę H. Barycza z dziedziny polemiki antyjezuickiej w Polsce („Equitis poloni in Jesuitas actio prima"). Józef Birkenmajer drukuje recenzję prac Biedrzyckiego i Jorgi z zakresu stosunków polsko - rumuńskich. Ks. Walenty Dębski recenzuje włoską książkę o Koperniku, mianowicie Righini Giulio „La laurea di Copernico allo studio di Ferrara".

Obecny redaktor „Ruchu Lit.", Piotr Grzegorczyk, wprowadził w ostatnim zeszycie ciekawą nowość; jest nią „Diarjusz kultury polskiej", obejmujący na razie styczeń—czerwiec 1935. Kronikarz notuje dzień po dniu ważniejsze zdarzenia kulturalne, zdając sobie zresztą sprawę, że nie może tu być mowy o zupełności, ani o dokładności; chodzi mu głównie o ścisłość daty. Tak, jak jest, diarjusz przedstawia się dość interesująco, chociaż niejedno w nim dałoby się zakwestjonować.

Np. czy warto było notować pod datą 10 luty 1935 „Rozstrzygnięcie plebiscytu czytelników „Wiadomości Literackich": *Kogo wybralibyśmy do Akademji Niezależnych, gdyby taka Akad. powstała?"*

Niektóre sprawy nie doszły wogóle do wiadomości kronikarza, niektóre notatki są niekompletne. Zwraca uwagę fakt, że kronikarz cytuje głównie prasę warszawską, pozatem parę pism niestołecznych, a prasę lwowską pominął milczeniem. I tak pod datą 8 czerwca 1935 znajdujemy notatkę o Zjeździe naukowym im. Ignacego Krasickiego we Lwowie, przyczem wymieniono sprawozdania ze Zjazdu, drukowane w „Pionie" i w „Prosto z mostu", a nie zacytowano ani jednego pisma lwowskiego. A przecież zarówno dzienniki, jak i tygodniki lwowskie („Akcja Narodowa", „Reduta") poświęciły Zjazdowi specjalne artykuły.

* *

Wyszedł z druku 5 zeszyt I tomu Polskiego Słownika Biograficznego, obejmujący życiorysy od Wilhelma Beauplan'a do Wojciecha Beynart'a.

Monumentalne wydawnictwo Akademji Umiejętności, redagowane przez prof. Władysława Konopczyńskiego, przynosi zawsze nowe rezultaty lub znakomite ujęcia, oparte na badaniach dawniejszych. W zeszycie obecnym bardzo ciekawy jest np. artykuł Dr. Kazimierza Piwarskiego a Becalu (Becalel ben Natan), słynnym faktorze Jana III. Becal, wkradłszy się w łaski królewskie, działał na szkodę skarbu państwa i popierał wszędzie Żydów.

Prof. Ignacy Chrzanowski pisze o wybitnym literacie ubiegłego wieku A. G. Bemie, zaś Wacław Tokarz o generale Józefie Bemie. Charakterystykę Salomei Bécu, primo voto Słowackiej, matki Juljusza, skreślił prof. Juljusz Kleiner. O Ryszardzie Berwińskim, poecie i żołnierzu (1819—1879) pisze Wisława Knapowska. O biskupie Betańskim, pierwszym rektorze Uniwersytetu Józefińskiego we Lwowie napisał prof. Stanisław Łempicki.

W krótkiej wzmiance niesposób wymieniać więcej przykładów. Słownik Biograficzny jest wydawnictwem nieodzownem w każdej bibljotece publicznej i prywatnej.

MAURICE DONNAY

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

MICHAŁ. — Osobiście, nie; ale pomiędzy nazwiskami, figurującemi na tej liście, są prócz znanych mi, także takie, których nie znam i inne, które znam za dobrze. Nie chcę się solidary zować z tymi ludźmi, cokolwiekbądźby czynili.

SAUL. — Cóż takiego, sądzi pan, mogliby robić? Są to ludzie, marzący o wyzwolonej i doskonałej ludzkości, którzy będą swoje marzenie wprowadzali w życie, ufając w skuteczność stałego wysiłku.

MICHAŁ. — Aa! W jaki sposób będą niektórzy z nich działali? W tem sęk właśnie. Za dobrze znam mentalność podpisującego. Początkowo pracuje się tylko nad zrealizowaniem wzniosłej idei; niebawem jednak zaczyna się kroczyć torem własnej myśli, by w niedługim czasie popaść w najciaśniejsze sekciarstwo. A więc z chwilą, gdy dana idea zwycięży, lub tak jest na pozór, zaczynają się prześladowania. Chcę siebie samego ustrzec przed podobnemi błędami; tembardziej, iż wiem zgóry, że w takim wypadku stanąłbym po stronie prześladowanych i zwyciężonych. — Proszę się nie uśmiechać: jeśliby pan prze szedł na ich stronę, byłbym z panem,

SAUL. — To uczucie bardzo szlachetne. Należy współczuć z tymi, co zasłużyli na klęskę. Jednakże brać ich stronę, nie zawsze oznacza wspaniałomyślność... niekiedy jestto jedynie prze ciwstawianie się zwycięzcom i temsamem opozycją.

MICHAŁ, (z uśmiechem). — Mam to może we krwi. W mojej rodzinie bywano stale w opozycji.

SAUL. — Pan jest Paryżaninem?

MICHAŁ. — Tak. Mój dziadek stawiał barykady w 48... ojciec obalał cesarstwo.

SAUL. — Nie sam jeden?

MICHAŁ. — O nie. Wuj był członkiem Komuny. Ale to nie z powdu ducha opozycji odmawiam panu podpisu: pragnę zachować niezależność.

SAUL. — To nadmiar skrupulatności. Kto ma takie usposobienie musi stać zawsze na uboczu.

MICHAŁ. — A pozatem mam jeszcze inne powody, powody czysto uczuciowej natury, które może znowu wydadzą się panu śmiesznemi. Mam jednak odwagę do nich się przyznać. Otóż do ligi, która mi się wydaje przeciwieństwem pańskiej, należą ludzie, których lubię i szanuję; nie chcę się deklarować ich przeciwnikiem.

JUDYTA, (gwałtownie). — Wiem, jakich łajdaków masz na myśli!

MICHAŁ. — Duchu pokoju i tolerancji!

JUDYTA. — No, ale to warjactwo! Nie wstydzisz się podawać podobnych racyj?

MICHAŁ. — Ani trochę.

JUDYTA. — A więc, jeżeliby twoi przyjaciele utworzyli ligę, mającą na celu udowodnienie, że ziemia stoi w miejscu i że krew nie krąży, czy i wtedy wzbraniałbyś się przystąpić do ligi, utrzymującej, że przeciwnie, ziemia się obraca, a krew krąży, jedynie dlatego, żeby im nie robić przykrości? To nie wytrzymuje krytyki. Nie można mieszać pojęć z sentymentem.

MICHAŁ. — Nie mieszają się u ciebie, mieszają się u mnie... nic na to nie poradzę. Zresztą nie idzie o rzeczy tak oczywiste, jak obrót ziemi, lub krążenie krwi. Zaś ludzie, o których mówię, nie stali się nagle łajdakami, a ponieważ w ich liczbie są napewno tacy, którzy się nie powodują żadnym interesem osobistym...

JUDYTA. — Och! Co do tego...

MICHAŁ. — Nie, żadnym interesem osobistym... a więc zapytuję sam siebie...

JUDYTA. — O co?

MICHAŁ. — Zapytuję, po czyjej stronie tkwi największa część prawdy, czy też mniejsza ilość błędów.

SAUL. — Prawda jest tylko jedna!

MICHAŁ. — Cały wiek filozofji i krytyki pouczył nas, że w świecie względności są dwie prawdy, zaś w absolucie prawdopodobnie trzecia, która się usuwa przed naszem poznaniem.

SAUL. — Kochany panie Aubier, przyznaję, że jestem zaskoczony pańską odmową, mogę ją sobie jednak wytłumaczyć. W życiu ludzi pańskiego pokroju zdarzają się chwile wahań i niepokoju. W takich chwilach nie czytają jasno w sobie samych; ci ludzie jednak, mogą się później zdecydować. Nie uważam pańskiej odmowy za definitywną... i liczę na panią, droga Judyto, że pani wpłynie...

JUDYTA, (z przekonaniem). — Może pan być spokojny, biorę to na siebie. On podpisze, tak być musi.

SAUL. — Do zobaczenia... powrócę

JUDYTA. — Przed jakiemiś dwoma tygodniami nie będziemy jeszcze urządzeni i zaczniemy przyjmować za miesiąc. Pan jednak będzie wyjątkiem Nigdy nam pan nie przeszkodzi.

SAUL. — Skorzystam z pozwolenia Dowidzenia, drogi panie Aubier, było mi ogromnie miło pana poznać.

(Wychodzi odprowadzony przez Judytę. Michał przegląda listę, którą Saul zostawił. Judyta wraca).

Scena 7.

JUDYTA, MICHAŁ.

JUDYTA. — Jestem pełna podziwu! Naprawdę, godną uznania jest działalność tego człowieka, którego dziadek i ojciec byli miljarderami...

MICHAŁ. — O których się wie...

JUDYTA. — Odziedziczył olbrzymi majątek i składa go na ołtarzu tak pięknej idei! Oczywiście, że uważam to za godne podziwu. A pozatem, to człowiek tak głęboki i czysty. I co za inteligencja!... Nie podoba ci się?

MICHAŁ. — Nie jest mi sympatyczny.

JUDYTA. — Dlaczego?

MICHAŁ. — To się nie da wyrozumować.

JUDYTA. — Nie uznaję niczego, coby się nie dało udowodnić rozumowo. Co mu zarzucasz?

MICHAŁ. — Nie potrafię ci tego powiedzieć... przyznaję, że jest bardzo na miejscu.... niewątpliwie jest to umysł bardzo wykwintny... ale jest cała masa szczegółów... to się nie da wytłumaczyć, te rzeczy się czuje... Zresztą ten pan jest z tobą w jednej chwili jak najlepiej, jakby cię widział wczoraj.

JUDYTA. — To całkiem naturalne, znał mnie jeszcze przed ślubem.

MICHAŁ. — Mówi w mojej obecności o panu de Chouzé i wogóle o prze szłości, która dla mnie nie jest bardzo przyjemna... Była nawet chwila, kiedy myślałem, że zacznie mówić o swojem dawnem uczuciu dla ciebie.

JUDYTA. — Nie zrobił tego, bądź sprawiedliwy.

MICHAŁ. — A potem, człowiek wiedzący dokładnie co robimy, znający przed wszystkimi innymi nasz adres...

JUDYTA. — Przecież ci wyjaśnił, jakim sposobem; to całkiem proste: mamy wspólnego handlarza osobliwościami...

MICHAŁ. — Osobliwościami, to trafne powiedzenie. (Judyta wzrusza ramionami). — Nie wydaje mi się to całkiem naturalne. Nie podoba mi się także... jakby to nazwać... szpiegowanie naszego przyjazdu, by wpadać natychmiast i żądać mego podpisu.

JUDYTA. — To dowodzi, że mu przypisuje największą wartość... Zato nie możesz się obrażać. Wszystkie twoje zarzuty nie są zbyt poważne... i wiem dobrze, co się za tem kryje.

MICHAŁ. — Co się kryje?

JUDYTA. — Popełniłam nieostrożność, opowiadając ci, że mnie kochał niegdyś. Dlatego byłeś do niego uprzedzony i zgóry zdecydowany być dla niego nieprzyjemnym. Udało ci się to zresztą.

MICHAŁ. — To wcale nie to.

JUDYTA. — A więc dlaczego nie chciałeś podpisać? Czy podasz mi łaskawie powody?

MICHAŁ. — Przecież powiedziałem już moje racje.

JUDYTA. — No, no, no! to nie było serjo... to nie ma sensu... Zachowałeś się poniżej wszelkiej krytyki. Och! Nie byłam z ciebie dumną, zpaewniam cię. Słuchałam twoich słów ze zdumieniem ze smutkiem.

MICHAŁ. — Robiłaś coś więcej wpadałaś gwałtownie w dyskusję.

JUDYTA. — Nie mogę słuchać takich rzeczy i milczeć. Zresztą, niemożliwe, byś wierzył w jedno słowo tego, coś powiedział.

MICHAŁ. — Bardzo cię przepraszam...

JUDYTA. — To coś nowego, w takim razie?

MICHAŁ. — Tak jest, od niejakiego czasu jestem bardzo zaniepokojony wszystkiem, co się dokoła mnie dzieje.

JUDYTA. — Milisz się Michale. Niepokoisz się nie tem, co się dzieje dokoła ciebie, lecz tem, co się dzieje z tobą samym.

MICHAŁ. — Co chcesz przez to powiedzieć?

JUDYTA. — Posłuchaj: oto wystarczyła chwila rozmowy z twoją siostrą, która ci przyniosła wiadomości o twej żonie, abyś się stał z powrotem człowiekiem niespokojnym, skłopotanym, chwiejnym, bez stanowczości i bez odwagi do życia. Zechciej mnie zrozumieć: nie twierdzę, że właśnie wizyta siostry powstrzymała cię od dania podpisu, o który Saul prosił. A jednak, pomimo, że te dwie rzeczy nie mają z sobą najmniejszego, logicznego związku, w twem sumieniu wiążą się one pośrednio, niejasno, mglisto. Znam cię dobrze: od godziny przestałeś być sobą, O, nie umiesz udawać i wyraz twej twarzy zmienia się zależnie od uczuć, jak krajobraz w różnem oświetleniu dnia.

MICHAŁ. — Jeślibym utrzymywał, że widzenie z siostrą i rozmowa o rodzicach, o dzieciach i o... mojej żonie nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia, nie wierzyłabyś...

JUDYTA. — Przecież Anna nie oznajmiła ci nic nowego. Obawiałeś się łez rozpaczy, tragedji nawet... tymczasem nie ścigano cię, nie odbierano sobie życia. Zamiast tego wszystkiego, zamknięto się w godności własnej, wszystko jest jaknajlepiej.

MICHAŁ. — O mało co nie umarła.

JUDYTA. — Ach, mój biedny Michale! Wiecznie skrupuły, wątpliwości, obawy, wyrzuty sumienia... wszystko, co zatruwa życie, co mąci przejrzystą wodę szczęścia, wszystko, co wymyślili ludzie twojej rasy, by zachwiać ludzkość w przekonaniu, że ma prawo, a nawet obowiązek być szczęśliwą.

MICHAŁ. — Tak, tych niepokojów, wyrzutów sumienia, ty nie możesz rozumieć; otrzymaliśmy różne wychowanie: ciebie uczono niezależności i buntu, wpajano przeświadczenie, że natychmiastowe zaspokajanie pragnień jest dla każdego celem życia; we mnie zaś wpajano poczucie obowiązku poddanie, wyrzeczenie, poświęcenie.

JUDYTA. — Jesteś zakażony duchem chrystjanizmu, a wszak nie wierzysz!

MICHAŁ. — Niestety! Tacy ludzie, jak ja, nawet gdy nie wierzą, pozostają związani tysiącami pęt z wierzeniami przeszłości. Wychowanie, zarówno jak dziedziczenie wyposażyły [illegible] sumienie i honor które niezaspokojone powodują niepokój i mękę.

JUDYTA. — Właśnie to stwierdzam.

MICHAŁ. — Mój rozum zapewnia mnie o mojem prawie do szczęścia, instynkt upomina się o zaspokajanie pragnień, ja jednak pozostaję niewolnikiem dawnej moralności. W rzeczywistości, jestem istotą przejściową; jest we mnie szczególna mieszanina starych pojęć i nowych idej, a moja dusza jest podobna do tych krajów pogranicznych, gdzie mieszkańcy mówią dwoma językami na przemian, dopóki nie nadciągnie zdobywca, który im definitywnie narzuci swoją mowę.

JUDYTA. — Powinno się samemu wybierać, nie czekać na zdobywcę.

MICHAŁ. — Wybrałem, skoro poszedłem za tobą.

JUDYTA. — A więc nie mów tego z rozpaczą. Ach! Jakże cię przekonać, że nie jesteś przestępca? Pomyśl, mógłbyś się poświecić bez słowa, a nawet umrzeć z żalu, podczas, gdy kobieta, dla której spełniłbyś tę ofiarę dowiedziawszy się o niej przypadkiem nie odczułaby żadnej wdzięczności. Czy sadzisz, że miałaby choć trochę litości? Być szczęśliwym, to nie znaczy być okrutnym, to znaczy jedynie: bronić się. A potem, dlaczego właśnie ty, miałbyś się poświęcić? Dlaczego nie ona? Ty masz przed sobą dzieło do spełnienia, trzeba ci wrażeń, trzeba ci radości i cierpień... nie jałowego smutku, ale cierpień twórczych... łakniesz uczucia i namiętności, jednem słowem musisz żyć i twoje życie jest więcej warte od jej życia. Mimo wszystko istnieje pewne stopniowanie wartości.

MICHAŁ. — Nie należy do nas osądzenie, na jakim szczeblu znajdujemy się sami. W ten sposób umieściliby się u szczytu hierarchji karierowicze, chciwcy i rozpustnicy, by usprawiedliwiać wszystkie swoje występki.

JUDYTA. — Ale ty nie jesteś ani chciwcem, ani karierowiczem; pokochałeś mnie oto wszystko. Miłości się nie wybiera, nie zależy od naszej woli, przeciwnie, bierze nas w posiadanie. Moja miłość ku tobie, to wszystka moja myśl i całe ciało, moje serce, mózg jednem słowem wszystko.. Moja miłość ku tobie, to cała moja istota i tylko zemną razem może się skończyć A więc boli mnie, że twoja miłość nierówna mojej i że szczęście, które ci daje nie wystarczy, by zmazać wszystko inne.

(Płacze).

MICHAŁ. — Kocham cię, Judyto, ubóstwiam... Wiesz o tem.

JUDYTA. — A więc nie żałuj czynu, który cię wyzwolił i dzięki któremu należymy do siebie. Miej odwagę spojrzeć mu w twarz, zamiast go oglądać w deformującem zwierciedle.

MICHAŁ. — Nie żałuję go. Tylko tłumaczę ci: moje sumienie spało, jak jezioro w promieniach twej miłości, gdy nagle wizyta mojej siostry wydobyła na powierzchnię...

JUDYTA. — Starą moralność. Ach! Nienadarmo należysz do swej rasy.

MICHAŁ. — Ty także... Wreszcie, ta chmura już przeszła i wszystkie moje zwątpienia stopią się w niezmiennem upojeniu posiadania ciebie.

(Ściskają się długo).

JUDYTA. — Widzisz, ja nie jestem dumna i nie mam miłości własnej. Zrobiłeś mi przykrość, a ja ci przebaczam Kocham cię i mógłbyś mi nie wiem co zrobić, nawet mnie zdradzić, a nie przestałabym cię kochać.

MICHAŁ. — Naprawdę?

JUDYTA. — A ty nie?

MICHAŁ. — Jakto?

JUDYTA. — Jeżelibym cię zdradziła, czy przestałbyś mnie kochać?

C. d. n.

KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

Powieść o wsi polskiej

Od pewnego czasu polska twórczość powieściowa nastawiła się zdecydowanie w kierunku „szarego człowieka". Wyszukiwano go po przedmieściach, zaułkach, małych miasteczkach, po poddaszach i piwnicach, — by skolei sięgnąć dalej — na wieś, tę polską powojenną wieś, o której prawdziwem życiu tak mało naprawdę wiemy!

Ale ta polska wieś powojenna czeka dotychczas naprózno na swego Reymonta. Nie brak, coprawda, licznych nawet prób i usiłowań, zmierzających do zobrazowania dzisiejszych „Chłopów", — ale dalecy jeszcze jesteśmy od bezstronnej, a wyczerpującej syntezy życia dzisiejszej wsi polskiej.

Jedni autorzy, jak *L. Kruczkowski*, sięgają w niedawną stosunkowo przeszłość, malując ją rozmyślnie w czarnych barwach, w sposób wyraźnie tendencyjny, odpowiadający ich nastrojom i przekonaniom politycznym i społecznym.

Inni, jak *J. Kurek*, ograniczają się do wygodnej formy modnego „reportażu", nie troszcząc się zbytnio o ścisłość i wierność historyczną, w polowaniu za łatwemi efektami, a z dużym uszczerbkiem dla artystycznego piękna całości.

Za pierwszą poważną próbę na tem polu uważać należy wydane niedawno nowele *Wincentego Burka „Droga przez wieś"*.

Młody ten, a zdolny pisarz widocznie nie czuje się dotychczas dość pewnie na terenie dłuższej powieści o jednolitej, zwartej akcji; — w nowelach jego wyczuwa się jednak prawdziwy talent, wyczuwa się oryginalne, własne oblicze. Nietylko zna dobrze środowisko, które opisuje, — ale umie patrzeć na nie i podchodzić doń z rozmaitych stron.

Po tej pierwszej, udalej próbie spodziewać się nam wolno dużo, — byleby Burek poszedł dalej śmiało własną drogą, wyzwalając się spod widocznego jeszcze wpływu rozmaitych modnych „izmów" i „yzmów".

W jednej ze swych nowelek: „Pożegnanie z ziemią„ opowiada Burek o gospodarzu Marcinie Krysie, jak to on w mroźne popołudnie lutowe, kiedy wojenny postrzał w nodze zaczął mu dokuczać, próbował rozerwać się czytaniem:

„Z sykiem swego bólu i w żałości duszy nad losami Jędrka Pofańca z Wiktorowej opowieści zanurzył się na spory przeciąg czasu w tem czytaniu".

Czy chłop z Sandomierskiej ziemi rzeczywiście rozczytuje się w *„Wierzbach nad Sekwaną"*. — jak chce autor? Nie wiemy. Ale jeśli tak jest, jeśli dzieło Wiktora faktycznie „trafiło pod strzechy", — byłby to piękny, a zasłużony sukces tego pisarza, który jak nikt inny chyba posiada wszelkie warunki i pełną legitymację do pisania o chłopie polskim i o polskiej wsi.

Wiadomo zaś doskonale, ile rzetelnej, a ciężkiej pracy włożył w te wzruszającą opowieść o naszem wychodźtwie we Francji.

Obecnie mmy do zanotowania nowe dzieło Wiktora*). Powieść, poprzedzona znowu długiemi, sumiennemi studjami i pobytem w zapadłej wiosce podhalańskiej, — co dowodzi, że autor przystępował do pracy z pełnem poczuciem odpowiedzialności.

I to powieść ,powiedzmy odrazu, doskonała, wybijająca się na czoło całej twórczości naszej ostatnich lat.

Zarzuca się niekiedy Wiktorowi pewien sentymentalizm, pewną ckliwość, jakże nie „pasującą" do dzisiejszych czasów i „mody". Czy słusznie? Wiktor zawsze pozostaje sobą, zawsze jest wiernym swemu światopoglądowi, swym umiłowaniom wszystkiego, co piękne, dobre i szlachetne. Na wszystko patrzy przez pryzmat tej swojej miłości do człowieka i przyrody. A chociaż dostrzega panoszące się zło i brud, — pozostaje zawsze optymistą, wierzącym w niezniszczalne piękno duszy ludzkiej, w zwycięstwo dobra. Umie pochylić się z miłością nad maluczkim, umie zajrzeć mu w głąb serca, — bo sam ma serce kochające, otwarte na wszystkie bóle, krzywdy i zawody.

Czyliż nie takich właśnie apostołów miłości dziś nam raczej potrzeba, niż *rzeszy zdolnych barbarzyńców, aktualnie reklamowanych, nagradzanych i wynoszonych pod niebiosa"*, jak o niektórych modnych pisarzach wyraża się p. J. B. (Juljan Babiński) w *„Merkurjuszu polskim"?*

I czy cierpi na tem konstrukcja i wartość artystyczna dzieł Wiktora, takiej *„Tęczy nad sercem"* lub *„Wierzb nad Sekwaną"?* Trzeba Wiktora brać takim jak jest. I trzeba przyznać lojalnie, że dzieła jego, będąc lekturą zdrową i szlachetną, stają się zarazem źródłem silnych wzruszeń artystycznych.

„Orka na ugorze", to chyba najdojrzalsze dzieło Wiktora. Ośrodkiem tej powieści jest nędzna, uboga wieś podhalańska, — zapewne gdzieś niedaleko od... Naprawy. Kiedy jednak w owej Naprawie

„przeklęta ziemia najemników trwała w rozkładzie, a ludzie, zatrzymani, zmarnowani w natchnieniach, nie wiedzą nic o świecie",

to we wsi Wiktorowej ludzie żyją naprawdę. Żyją w ciężkim znoju i trudzie, w swoich nędznych chatkach, borykając się z losem i z tą niewdzięczną, a jakże ukochaną glebą! Widzi Wiktor zacofanie i ciemnotę tego chłopa, który dzieckiem będąc, poniewierany był i bity, w austrjackiej szkole, któremu trudno zrozumieć dzisiejsze, młode pokolenie, dzisiejszą, polską szkołę i nauczyciel.

Ale widzi też i te dzieci, ochotnie garnące się do nauki, spieszące w dziurawych porciętach przez błoto i śnieg do szkoły, mimo zimna i głodu.

Na wielką chwałę autora zapisać trzeba, że i szkoły nie idealizuje przesadnie. Jedną z głównych postaci powieści jest nauczycielka, traktująca swój ciężki zawód jako posłannictwo, z całem poświęceniem i umiłowaniem sprawy I oto na drodze tej spotyka zaporę, nieprzebyty mur bezdusznej formalistyki, konferencyj, ogólników wykazów, Jest źle widzianą „u góry", bo jest zbyt samodzielna, bo zawsze wybiega naprzód przed innymi.. Burzy lud..

„A ona tylko w wolnych godzinach szła do chłopskich chat z książką, uczyła poczucia krzywdy, dźwignięcia się z pierwotnego stanu, chciała ruszyć z bezwładu, pchnąć naprzód, a z pożaru który obejmował świat, wyjmowała parę rozżarzonych węgli, aby podpalić zmartwiałe dusze..."

W noc wigilijną marzą się jej wielkie dni „które nakazują, że nie wystarcza zbieranie samych smutków. Rodzi się w nas powszechne wołanie o mocnego człowieka, o przebudowę"...

W takiej chwili właśnie nadchodzi owo fatalne pismo urzędowe... Dosięgli ją....

Ale ręce, zwieszone bezsilnie pod wpływem tej wieści, — po chwili kurczą się, — zaciskają spowrotem:

— Orać ugór!

„Wiedziała to, że zawsze zbuntowana, upadająca i odnosząca zwycięstwo nad sobą, pójdzie w czekające ją jutro, aby kłaść życie pod przycieś zawsze tej samej budowli".

I w Naprawie jest szkoła, — akurat taka sama, jak w Wiktorowej opowieści. I w Naprawie dzieci chodzą obdarte, bose, nierzadko głodne.

Ale tam „klimat" jest inny:

„Naprawa nie miała ochoty do nauki. ...coraz mniej dzieci posyłała do szkoły.... Dzieci nie miały sukienek ani butów; latem mogły jeszcze przelecieć w koszuli, ale na taki mróz? Tylko bogatsze dzieci chodziły do szkoły, wyśmiewając sąsiadów, że nie posyłają swych nieumytych bachorów do szkoły..."

Na tem tle nie razi też, nie może zbytnio razić postać nauczycielki Hanki:

„Hanka już trzeci dzień nie wstaje z łóżka. Cóż ma tu do roboty? Uczyć zasmarkanych malców prymitywnej wiedzy o świecie i ludziach Czytać i pisać alfabet. Cóż jeszcze? Być im przyjaciółką i opiekunką. Wszyscy byli niechlujni, nieufni...

Nie było między niemi małego Alojza z Wiktorowej opowieści, owego urwisza, co nie ociągał się z robotą w domu, co lubił wyczyniać rozmaite figle i zbytki swym rówieśnikom, — ale do szkoły wyrywał się sam, ochotnie, brnąc przez śnieg i błoto. Albo też raczej owa Hanka... nie umiała go znaleść, bo go też nie szukała...

Takto sprawdza się znowu francuskie przysłowie, że

„c'est le ton, qui fait la chanson".

Tam gdzie Kurek widzi tylko apatję, bezruch, ciemnotę, beznadziejne wegetowanie w ciasnym kręgu prymitywnych potrzeb fizjologicznych i najmniej wybrednych zainteresowań erotycznych, — tam dla Wiktora otwiera się świat cały, świat polskiej wsi i nowej polskiej szkoły z jej ofiarnymi pracownikami, orzącymi ugory zacofania i ciemnoty.

Ten wzajemny stosunek nowej szkoły do wsi i jej nowego, idącego pokolenia, stanowi dominantę powieści Wiktora i nadaje jej odrębne piętno.

Chociaż głównemi postaciami w „Orce" są właściwie mały Alojzy Malinowski i nauczycielka, — to jednak ośrodkiem całej powieści jest sama wieś, — taka nędzna wioska podhalańska i jej codzienne sprawy.

Obraz jej wszechstronny, żywy i plastyczny, — niemal bez retuszu. Czuje się odrazu, że nakreślony na podstawie sumienej autopsji. Ludzie tam bywają dobrzy i źli, zawistni, zacieci w nienawiści w zemście, każdym fibrem zrośnięci z tą niewdzięczną ziemią, o którą walczyć gotowi są pazurami, do upadłego

Stąd takie bogactwo i rozmaitość typów, — od niesamowitej postaci starego Biela aż do nieszczęśliwej, sparaliżowanej Malinowskiej i starego żartownisia Smoczka.

Niemało też miejsca poświęca Wiktor opisom przyrody. Majestatyczne góry, obłoki, ptaszęta rozśpiewane, czy stary kundel w budzie gospodarza, — wszystko w równym stopniu go interesuje, na wszystko patrzy okiem człowieka, który przyrodę i ludzi jednakowo ukochał i jednako rozumie.

I wreszcie język i styl powieści: W dzisiejszej dobie niesłychanego rozwydrzenia i niechlujności językowej, w dobie formalnego licytowania się w babraniu się w świństwie i najgrubszej erotyce, — żeby nie powiedzieć pornografji, — tem silniej występuje dyscyplina językowa i stylistyczna Wiktora, wolna jednak od przesadnej pruderji. Książka pisana jest pięknym, czystym polskim językiem; gwara podhalańska nie sfałszowana, ani nie upiększona, niemal nigdzie nie razi.

Conajwyżej możnaby mieć pretensję do autora, że niekiedy wkłada w usta swych bohaterów wyrażenia zbyt soczyste, bezwątpienia zaczerpnięte z codziennego słownika wsi, ale mimo wszystko nie mające miejsca w tzw. literaturze pięknej. Ale darujmy mu to drobne ustępstwo na rzecz dzisiejszego „ducha czasu" i gustu publiczności, karmionej systematycznie utworami Krzywieckiej, Jalu Kurka e tutti quanti...

Bo w ogólnym bilansie te drobne usterki nikną zupełnie wobec nieprzeciętnej wartości całego dzieła, stanowiącego piękną kartę w twórczości Wiktora i w całej naszej literaturze ostatniej doby.

---

*) Jan Wiktor: „Orka na ugorze" (wyd. Książnica - Atlas, Lwów — Warszawa).

Wśród wydawnictw

Mjr. Stanisław Karpiński: POLSKIE skrzydła w moich lotach długodystansowych. Z portretem autora, 28 rycinami i 4 mapkami.

Niemal równocześnie z rozpoczęciem lotu z Polski do Australji pojawiła się książka majora - pilota St. Karpińskiego. w której — na podstawie notatnika podróży — podaje opisy i wrażenia z odbytych trzech wielkich lotów długodystansowych: dookoła Polski, dookoła Europy i raidu azjatycko - afrykańskiego.

Autor opowiada poprostu, nie siląc się na wyszukany styl literacki; ale właśnie ta prostota, szczerość i bezpretensjonalność jedna mu odrazu serce czytelnika.

Książkę poświęcił autor młodzieży polskiej, — zainteresuje ona jednak każdego, komu leży na sercu rozwój polskiego lotnictwa. Jest to prawdziwie polska książka lotnicza, spełniająca przytem znakomicie zadanie propagandowe.

ŚWIAT i ŻYCIE, zeszyt 9 tomu III. (wyd. Książnica - Atlas, Lwów). Zgodnie ze swym charakterem „zarysu encyklopedycznego" przynosi i ostatni, listopadowy zeszyt tego miesięcznika cały szereg fachowych artykułów z rozmaitych dziedzin wiedzy.

Mamy więc szkic o Ormianach, obszerniejszą rozprawkę o odżywianiu, ze szczególnem uwzględnieniem roli witamin. Zagadnienia społeczne i ekonomiczne omawiane są w artykułach o Organizacji, Opiece społecznej i oszczędności. Bardzo interesująco pisze prof. Hirszfeld o odporności organizmu ludzkiego przeciw zarazkom chorobotwórczym.

Poza tem dużo innych tematów, opracowanych zwięźle, jasno i wyczerpująco — oraz odpowiednio dobrane bardzo starannie wykonane ilustracje. Całość jak zawsze, utrzymana na wysokim poziomie, posiada nieprzeciętną i trwałą wartość.

„Voltaire" Andrzeja Maurois

Złośliwą, lecz bardzo trafną recenzję ostatniej książki Maurois'a napisał Andre Billy w tygodniku „Gringoire".

Wolter nie jest obecnie w modzie. Można się zgodzić z twierdzeniem, że znaczne partje jego dzieła są dzisiaj martwe. Niemniej jednak Wolter jest i pozostanie najbardziej charakterystycznym z pisarzy francuskich, obok może Pascal'a, kótremu sie symetrycznie przeciwstawia. Pisarze jak Wolter, Montaigne, Diderot, Bossuet, Rousseau, Chateaubriand są składowemi elementami kultury francuskiej. Choćby Wolter nie był czytany w dzisiejszej Francji, pozostanie nazawsze składnikiem powietrza, którem Francuz oddycha od urodzenia, gwiazda, która wpłynęła w sposób decydujacy na to, co Maurois nazwałby klimatem tego kraju.

Skoro Andrzeja Maurois przyrównywano niejednokrotnie do Anatola France'a, zaś Anatola France'a do Woltera, nic dziwnego, że autor „Pułkownika Bramble'a" pokusił się o wniknięcie w dzieło Wolterowe i poświęcił mu książkę.

„Voltaire" Maurois'a jest przedewszystkiem skrótem biograficznym, rozpoczynającym się od wstępu, stanowiącego rzut oka na narodziny i charakter XVIII stulecia. W pojęciu autora wiek ten jest zdegenerowanym dalszym ciągiem XVII stulecia: „Powierzchnia pozostaje gładka i poprawna, nie skrywa jednak żadnej treści" — dowodzi Maurois, mając prawdopodobnie na myśli przedewszystkiem dramat. Możnaby się zgodzić na tę ocenę, gdyby się odnosiła jedynie do tragedji Woltera, ale musi sie ją uznać za krzywdzącą w stosunku do naukowego i filozoficznego dorobku XVIII stulecia, którvto dorobek jest bardzo znaczny. Podobnie i literatura tej epoki jest czemś więcej, jak tylko klasyczną formą, pozbawioną treści przez „przesadną tendencję do abstrakcji". Określenie to może być słuszne tylko w odniesieniu do tragedji. W powieści, komedji, historji, a nawet w poezji lirycznej, XVIII wiek pozostawił arcydzieła równie treściwe, jak poprzedzająca go epoka.

Zadrżały w XVIII wieku fundamenty starej monarchji francuskiej, ale monarchja mogłaby się ostać, mogłaby się przystosować do ducha epoki, gdyby Ludwik XV — zamiast traktować reformatorów jak wrogów — potrafił ich użyć. Ten władca, któremu historycy przypisują znaczną inteligencję i dowcip, postępował jak ktoś kto nic a nic nie rozumie z głębokich prądów, nurtujących epokę. Dowodzi tego jego sposób odnoszenia się do Woltera.

Zaś co do Regencji, w której Andrzej Maurois widzi jedynie okres szaleństwa, należy stwierdzić, że była ona również czasem entuzjazmu, wielkiej dobrej woli, wielkiej ciekawości i głodu naukowego i intelektualnego, nie ograniczających sie tylko do wybryków księżnej de Berry. Prześladowania, których ta epoka nie szczędziła Wolterowi nie mogą być dostatecznym poawodem do potępienia tej wyjątkowej karty w historji Francji.

Maurois, wzbudzający podziw dla swej ogromnej inteligencji i wzorowej lojalności umysłu, okazuje się dziwnie wstrzemięźliwy w ocenie pisarza i epoki, którym ma wiele do zawdzięczenia i których tradycje literackie kontynuuje z rzetelnie zasłużonem powodzeniem. Czytając jego pracę, ma się wrażenie, że autor nie podziwia ani Woltera ani XVIII wieku. Zważywszy talent Andrzeja Maurois, rodzaj jego umysłu i to, co jest wiadomem o jefo osobowości, możnaby się spodziewać pewnego braku bezstronności w tym wypadku, lub oczekiwać przynajmniej, że bezstronność ta zostanie zdobyta kosztem pewnego wysiłku. Ale nie. W całym tomiku nie odczuwa się bynajmniej, by objektywność autora została osiągnięta najmniejszym bodaj wysiłkiem. Przeciwnie, na stronie 137, bezstronność ta graniczy już z czemś w rodzaju chłodnej impertynencji. Andrzej Maurois stawia, mianowicie to nieoczekiwane pytanie: „Czy Wolter był wielką inteligencją?" Już samo pytanie wywołuje u czytelnika odruch zdziwienia, ale autor zapuszcza się głębiej w dziedzinę paradoksu. Na to zasadnicze pytanie nie odpowiada przez formalne „tak". Szermując zręcznie piórem, zarzuca Wolterowi nieznajomość religij, pomieszanie chrystjanizmu z tymi, którzy go wypaczali, wreszcie brak głębokiego przemyślenia reguł, które sobie przyswoił. Nie idzie tak daleko, by mu zarzucać prostactwo, by go nazwać sztubakiem, ale niewiele do tego brakuje.

Wyjąwszy powieści, w których jest poetą, a więc twórcą — jest to opinja Andrzeja Maurois — Wolter zdaje się być dla swojego nowego biografa li tylko pierwszorzędnym „popularyzatorem". W porównaniu z genjuszami tej miary co Dante, Szekspir, czy Goethe — Wolter posiada — zdaniem jego — jeden zasadniczy brak: pozostaje nieczuły na „najgłębszą istotę rzeczy".

Wszystkie opinje są uprawnione, skoro są rezultatami dostatecznego przemyślenia. Maurois przemyślał dzieło Wolera i jego opinję należy uszanować jako wynik rzetelnej pracy. Nie mniej jednak, przez zapytanie czy Wolter był bardzo inteligentny, Maurois wykluczył się sam, z własnej woli z wielkiej rodziny umysłów, wśród której zwykło się go stawiać.

Nie dlatego, by można postawić pytanie, czy on sam jest bardzo inteligentny. Czy nie jest nim zanadto? O to sedno rzeczy. Trochę mniej inteligencji, a nieco więcej tej wibracji umysłowej, dzięki której Wolter stanął obok największych poetów — oto czego możnaby mu życzyć z całą sympatja.

Po tych uwagach ogólniejszej natury, dorzucę kilka szczegółowych.

Maurois nie wspomina ani słowem o metodzie pracy Woltera. Przed olbrzymim stosem drukowanego materjału, puścizną pisarza, czytelnik staje oszołomiony. „Voltaire" o stu czterdziestu stronicach, powinienby choć sumarycznie odpowiedzieć na ten znak zapytania.

Po drugie: ani słowa o niezwykłym pogrzebie wielkiego człowieka, o przewiezieniu jego ciała do Sellières, o rozkładzie trupa, o wyniesieniu z powozu napoły zatrutego służącego itd. Szczegóły te nie są błahe; odmalowują epoke.

Po trzecie: „Korespondencja" nie została zaszczycona przez biografa ani jednym komentarzem, ani jedną pochwałą, chociaż bez przesady możnaby powiedzieć, że ona właśnie zajmuje pierwsze miejsce w dziele Woltera. Tu jest luka niezaprzeczona. Korespondujący Wolter zasługiwałby na osobny rozdział.

Szkoda też, że autor nie poświęcił jednego ustępu książki — dowcipowi Woltera. Nie dlatego, żeby ten temat nie był traktowany setki razy, z mniejszem lub większem powodzeniem, ale możnaby się spodziewać, że „anglizujący" Maurois dorzuciłby tu interesujący, osobisty przyczynek, Jaką rolę odgrywał w ironji wolterjańskiej angielski „humour"? Nikt też lepiej od Andrzeja Maurois, nie potrafiłby wyjaśnić przyczyn nadzwyczajnego powodzenia tego rodzaju dowcipu — u Żydów.

Książka jego o Wolterze jest jakby trochę za krótka. Zabrakło w niej też miejsca na podkreślenie aktualności Woltera. Od czasu światowej wojny, powtarza się często, że pisarz ten wyszedł z mody. Niemniej, w hisorji kultury umysłowej, w historji idej, imię Woltera pozostanie nazawsze niezatarte.

Jeśli mowa o aktualności, trudno nie wyrazić żalu, że wielki ironista nie żyje w naszych czasach. Jakże piękną bajkę napisałby o wojnie, do której omal, że nie doszło!

M. O.

Niemieckie reportaże o Polsce

Od czasu, kiedy kanclerz Hitler zadecydował o zmianie stosunków z Polską, zaroiło się na rynkach księgarskich od niemieckich książek o Polsce. Nawet zapamiętali pamfleciści, jak Czech - Jochberg i Oertzen odnaleźli w swej duszy przyjazne uczucia wobec Polaków i informują swoich współziomków o tej nieznanej krainie, która się nazywa Polską, a której imię, o ile je wogóle wymieniano, wymawiano dotąd z dowcipem Heinego na ustach, jeżeli nie z wojowniczemi gestami.

Publicysta niemiecki Henryk Koitz wydał w krótkim czasie dwie książki dotyczące Polski: „Männer um Piłsudski" i „Am Rande Europas. Tagebuchblätter polnischer Reisen".

Podróże reportera Koitza.

Autor objeżdżał, jak twierdzi, kilkakrotnie Polskę i opowiada swoje spostrzeżenia barwnym językiem i w fantastycznych przenośniach, zapożyczonych od pisarzy ruchu narodowo - socjalistycznego z Moellerem von der Bruck na czele. Mapa Polski na okładce pierwszy raz od roku 1919 nie zawiera zaznaczenia na niej granic dawnego zaboru niemieckiego, co nie przeszkadza autorowi mówić zaraz na pierwszej stronie o „bezsensownej konstrukcji wschodniej Europy" w traktacie wersalskim, przyczem pozostawia się czytelnikowi swobodę domysłu, co mianowicie wydało się autorowi bezsensowne. Kilkanaście wierszy dalej dowiadujemy się, że nowe Niemcy uświadomiły sobie ponownie „prastare niemieckie zadania na wschodzie".

Zakopane, Częstochowa, Dąbrowa Górnicza, Kraków, Lwów — oto pierwsze etapy podróży autora w południowej Polsce. Później był na Wołyniu, na Polesiu, w ziemi wileńskiej, w Łodzi i Warszawie. Pobyt u lekarza opozycjonisty, u którego mieszka w Zakopanem, daje mu sposobność do ciekawych uwag o narodowej demokracji w Polsce. Później uświadamia sobie, że przebywając w Polsce, jest na krańcu Europy, bo Rosja to już nie Europa. W dalszą podróż „po prastarych śladach niemieckich ciągów chłopskich" udaje się autor z wieloznacznym cytatem z Moellera na ustach, że „die preussische Erde liegt unter unentschiedenen Himmeln"; widocznie wędruje z nimi.

Pochlebne sądy.

„Ad captandam benevolentiam" znajduje autor słowa gorącego entuzjazmu dla osoby i czynów Marszałka Piłsudskiego, oraz dla wojska, surowo krytykuje politykę carów i ślady ich panowania w ziemiach byłego zaboru rosyjskiego, znajduje słowa uznania dla Polski jako przedmurza chrześcijaństwa, podziwia piękno przyrody i architektury, których fotografjami — bez tytułów — upiększa swą książkę, sławi naszych poetów i muzyków i — rzecz dotąd niesłychana — przyznaje wzajemne wpływy na siebie sąsiadujących ze sobą Niemców i Polaków.

Kwestja mniejszości narodowych.

Ale autor idzie przecież „prastaremi śladami niemieckich ciągów chłopskich", których pono było mniej, niż się megalomanji narodowej może wydawać, a ponieważ pozatem wędruje pod pruskiem niebem Moellera von der Bruck, dwoi mu się bezustannie w oczach! Wszędzie widzi Niemców i niemiecką (w Krakowie nawet austrjacką) kulturę, zaś pokrewne pruskim dźwięki żargonu prowadzą go do rozstrząsania kwesji żydowskiej na każdej niemal stronie książki.

Ponieważ nadto z radościa wszędzie wita Rusinów tak białych, jak i czerwonych, wydawać się może, że w Polsce mieszkają tylko Niemcy, Żydzi i Rusini, z dodatkiem Litwinów. Tak, na ziemiach „obcych narodów wyrosły dwie najpoważniejsze strażnice Polski, Wilno i Lwów! — nie gniewajcie się, nie zaprzeczam Wam do nich prawa Skolonizowaliście tę ziemię więc macie do niej prawo; wszak i nasz Fryderyk kolonizował i kolonizowali nasi świetni rycerze między Łabą a Odrą".

Niestety! musimy zrezygnować z zaszczytu braterstwa broni z różnymi Henrykami, Geronami i Fryderykami, choćby nam groziło niebezpieczeństwo, że pan Koitz zaprzeczy nam praw do Wileńszczyzny i Wołynia, i choć mówi tak pięknie i barwnie o nadłabskiej i „fryderycjańskiej" kolonizacji, którym chciałby nieomal nadać tak pokojowe znaczenie, jak zaślubiny Jadwigi z Jagiełłą.

O pokrewieństwie szczepowem między ludami prusko -litewskiemi i polskiemi nigdy nie słyszał, natomiast czasem wspomina o „bratniej kłótni" między Polakami i Rusinami, doradzając zgodę, aby w następnej chwili mówić o Rusinach znów, jako o obcym narodzie. Pozwala nam nawet „sub rosa" na eksperymentalną politykę wobec białoruskiej ludności, bo „wiele drzazg takich przepadło między Łabą a Dnieprem! Gdzież się podzieli Polanie, Wendowie, Prusowie?" Autor nie domyśla się, że miecz germański umieścił ich w grobie, lub wysłał, jako niewolników nad Morze Śródziemne; nie były to nawet „drzazgi", lecz liczne ludy, które zostały w bezwzględny sposób wytępione, jak poinformowałyby autora kroniki średniowieczne jego własnych kompatrjotów.

Propagandowe hasła w poetyckiem zabarwieniu.

Poetycko nastrojowe ubarwienie bojowych haseł niemieckiej propagandy, występujących w jagnięcej skórce, jest ciekawą cechą książki Koitza. Wciąż duma, deklamuje, marzy... A tymczasem obiera „górnośląski lud" z prastarego języka Piastów, klasyfikuje go jako lud bez przynależności narodowej, który może pozyskać, kto chce Dalej wszystkie dobrodziejstwa kultury pochodzą od Niemców. Polska jest krajem narodowo mieszanym, z olbrzymią przewagą Rusinów, Żydów, Niemców. Polska jest krajem wybitnie rolniczym, zdatnym tylko do produkcji rolniczo - leśnej; przemysł źle postawiony, właściwie tylko zawadza i psuje strukturę gospodarczą Polski.

Rezultat: Polska, biedna jak żebrak (Chojnom, nędznemu przedmieściu Łodzi „wstrząśnięty" autor poświęca cały rozdział) nie da sobie rady z problemami społecznemi bez „fermentu" niemieckiej imigracji, zwłaszcza chłopskiej, której powinna stworzyć idealne warunki bytu i rozwoju, szczególnie niemiecko - narodowego na podstawie idealnej reformy rolnej, głównie na słabo zaludnionych Kresach Wschodnich, gdzie idealni osadnicy niemieccy w idealnej zgodzie z Rusinami i kilkoma Polakami będą bronić granicy Polski przeciw europejskiej Azji, reprezentowanej przez Sowiety; wtedy Polska stanie się wzorem dla całego świata, jak należy traktować Niemców

Wolelibyśmy mniej marzycielsko usposobionych reporterów.

DR. KAZIMIERA JEŻOWA.

Lwowianki w biegu minionych wieków

W zamożnem ongiś i kulturalnem mieszczaństwie lwowskiem, zamiłowanem w tem wszystkiem, co obrazowi życia zapewnia i treść wzniosłą, a szlachetną i ramy piękne — kobieta nadto miała sposobności, aby w całej pełni zaznaczyć godność swej płci i ujmować swym urokiem. Na pożółkłych kartach ksiąg konsularnych czy innych, przechowanych w miejskiem Archiwum, w rozlicznych intercyzach, działach czy aktach ostatniej woli występuje mieszczanka lwowska jako żona i matka, pełna szacunku i miłości rodzinnej, uzyskując miano „przyjaciela“ męża, zastępująca go czy za ladą sklepową i przy księdze rachunkowej, w domu i w ratuszu, w mieście i na jarmarkach poza jego murami, reprezentująca kapitał pracy, wierności i inteligencji. Z kart ksiąg miejskich wyłaniają się tedy konterfekty poważnych matron i jak powiada Łoziński,



Anastazja Wołkowiczowa

z grubych foljałów archiwalnych wyskakuje czasem jak djablik z pudełka mieszczaneczka, skąpymi rysami, ale tak doskonale zakonserwowana w aktach, że ją po trzystu latach widzimy przed sobą.

* * *

W literaturze mieszczance lwowskiej niewiele dotychczas poświęcono prac, któreby sięgając do źródeł i przebijając się przez ich gąszcza, zdołały uchwycić i naświetlić jej konterfekt. To też z prawdziwem uznaniem powitać należy dwie prace, jakie ukazały się w druku w ostatnim czasie, znanego i uznanego pióra Dr. Łucji Charewiczowej: „Z przeszłości Lwowianek“ (Warszawa, 1935) i „Mieszczka lwowska XVI. w. — Zofja Hanlowa“ (Ziemia Czerwieńska, zesz. 1). Na podstawie licznych wzmianek w źródłach, nieraz jednak nader szczupłych i lakonicznych, zdołała ceniona autorka w obu wyżej wymienionych studjach odpowiedzieć w zupełności na postawiony sobie temat, przyczyniając się znakomicie do zapełnienia tej luki, jaka dotychczas w piśmiennictwie naszem w tej mierze zauważyć się dawała.

Gdy w świetle badań naukowych wysuwali się dotychczas z zamierzchłej przeszłości mieszczanie, ich żony i córki pozostawały przeważnie w cieniu. „Viri illustres“ — jak mówi autorka — nie znaleźli dotychczas odpowiednika w „feminae celebres“, które przecież żywotnością swej energji życiowej, migotliwością swych zalet i wad dzielnie sekundowały swym mężom w ich życiowym znoju. Ówczesne kanony życiowe rzadko wysuwały je poza domowe progi, poza nimi bowiem widywały je jeszcze kościelne mury, ratuszowe sale, rzadziej cechowe, rękodzielnicze gospody. Mieszczanki lwowskie były nietylko wzorowemi pracownicami domowemi, ale nierzadko podejmowały samodzielną pracę zarobkową. Niedługo w starym Lwowie żony opłakiwały mężów, a mężowie żony. Z rekordową szybkością wstępowano po stracie towarzysza czy towarzyszki życia w nowe związki małżeńskie, gdy interesy wymagały kierowników, a domy gospodyń, z małemi zatem przerwami gorzały mieszczańskie ogniska małżeńskie. Z tego też powodu i dzieci bywały: „moje, twoje, nasze“ dużo ich na świat przychodziło i dużo z niego schodziło. Synowie bywali na pierwszym planie, córki pozostawały w cieniu i jeśli nie bywały oddawane w zamęście, najczęściej klasztorne skrywały je mury.

Była mieszczanka lwowska przeważnie wierną towarzyszką swego męża. Gdy dążył on w dalekie, długotrwałe podróże handlowe, obejmowała ster gospodarstwa i ciężką pracą pokrywała dręczące ją o życie męża niepokoje. — W czasie częstych oblężeń miasta wysuwały się mieszczanki do współudziału w akcji zbrojnej, wybiegając na mury miejskie, by wrzątkiem zlewać nieprzyjaciół, wspinających się na mury. Nieraz też padały w obronie grodu, a zapiska tego rodzaju, jak „padło tego dnia kilka żon żołnierskich na wale“, należy do częstych wzmianek w księgach lwowskich.

Obok dzielnych i wzorowych żon i matek-gospodyń występują w średniowiecznym Lwowie kobiety w pojęciu prawnem niewolne, sprzedażne siły robocze, zwłaszcza wśród ormiańskich rodzin. W mieście, pełnem przejezdnych kupców i rzemieślników oraz żołnierzy krył się w cieniu wałów „dom bezwstydu“, gdzie przebywały niewiasty, zwane „powołocznemi“, w aktach „meretrices“, które w niektórych miastach piętnowane były specjalnemi odznakami.

W świetlicach, alkierzach i komnatach pięknych domów rynkowych uwijały się patrycjuszki, poza rynkiem zamieszkałe mieszczki doglądały sklepów mężowskich lub w warsztatach pełniły rząd nad czeladzią, inne — podobnie, jak dziś — zapełniały rynek, zasiadając przy ławach w zastępstwie mężów lub prowadząc samoistny interes drobnohandlowy, pełne zawsze temperamentu, wielce wymowne, na tle zawiści konkurencyjnej szermujące wytrwale językiem. Handlowały mieszczki lwowskie na rynku, wyjeżdżały też na lukratywne, nieraz dalekie jarmarki. Żyły pracą, rodziną i modlitwą, przyczem chlubą ich wielką było należyte rozumienie i spełnianie twardych obowiązków życiowych. Gospodarne i pobożne oddane były sprawom i troskom szarego, codziennego życia.

* * *

Małżeństwa, wiązane nietyle z miłości, ile z interesu, wprowadzały dziewczynę odrazu w wir pracy i rozlicznych zajęć w domu mężowskim tak, że rojenia panieńskie rychło w tym wirze rozwiewały się, chociaż karty ksiąg miejskich podają niejedną sentymentalną opowieść. Gdy mór grasował pewnego roku młody Włoch, który z Krety z winem przyjechał do Lwowa, umiłował pewną mieszczaneczkę Pelagję, a gdy zapadła na zdrowiu, odważnie bronił jej przed morową śmiercią, a gdy oboje zmarli na zarazę, napis grobowy głosił: „Śmierć nie rozłączyła tych, których połączyła miłość“.

W innym wypadku w r. 1580 o względy Anusi Wilczkówny zabiegał Florentyńczyk Urban della Ripa Ubaldini oraz mieszczanin Paweł Jelonek, żonaty i ojciec dwojga dzieci. Gdy Anusia w tańcu wyróżniła Włocha, znieważył go drugi wielbiciel, wobec czego Włoch porwał się do broni i rapierem rozłożył rywala na miejscu. Z trudem wielkim sprawca uszedł katowskiego miecza, a wyszedłszy z więzienia wstąpił z Wilczkówną na ślubny kobierzec. Stare księgi podają niejeden szczegół o Jadwiszce Łuszkowszczance, która stała się faworytą królewską, o zakonnicy Helenie, której porwanie z klasztoru w niemały sposób zawieruszyło opinję miasta, o romansie dworzanina starosty grodzkiego, Jana Dziewosza z żoną kupca Krzysztofa Kuna, których zainteresowanie budzące sprawy przesuwały się przez wokandy sądów miejskich.

Wiele mieszczanek znikało za furtą klasztorną, niektóre z nich nawet w domu wprowadzały klauzurę. Trzy siostry Saporowskie opodal Góry Zamkowej przy końcu XV. w. ufundowały klasztor Benedyktynek, który stał się w ten sposób najstarszym zakładem naukowym dla dziewcząt we Lwowie. — Tradycja przekazuje tedy wiele wzmianek o religijności mieszczek lwowskich od chwili, gdy Konstancja, żona ks. Lwa, a siostra św. Kingi, wybudowała w połowie XIII. wieku najstarszą w mieście świątynię. W r. 1495 Dorota Majzlówna legowała znaczne sumy na rzecz katedry, a w wiek później w jej ślady w szerszym zakresie wstąpiła mieszczka Zofja Hanlowa.

* * *

W pełnem świetle ujęty i wszechstronnie nakreślony w osobnem studjum został konterfekt Zofji Hanlowej. Mieszczka ta wobec nierozwikłanych spraw po śmierci męża i pod brzemieniem spadkowego sporu rozwinęła nadzwyczajną ruchliwość i obrotność. Pełna temperamentu broniła swych spraw na wokandzie sądowej, przyczem energiczne zabiegi w niemały sposób pomnożyły jej mienie. Na licznych nieruchomościach miejskich i podmiejskich lokowała gotówkę, udzielała pożyczek, a gdy zastawy zapadały, a raty nie były spłacane, liczne ruchomości przechodziły w dłuższe lub krótsze jej posiadanie. Przejawiała pozatem nadzwyczajny zmysł handlowy w spekulacjach placami, ogrodami i domami. Gospodarowała sama na folwarku Koszmarowskim, gdzie założyła cegielnię, wzięła w zarząd okoliczne łany, kamienicę rodową w rynku, dzisiaj nr. 5 znaczoną, po pożarze przebudowała, oddając ją w chwilowe posiadanie przybywającym do Lwowa w r. 1584 Jezuitom. Celem uczczenia swej patronki wzniosła na gruntach folwarcznych za miastem kościółek ku czci św. Zofji i odpowiednio go wyposażyła. Niezwykłym był inny jej zapis. Na rok przed swą śmiercią, w r. 1594, zapisała ogród i dwa domki na szlaku obok mostu wołoskiego na lecznicę dla ośmiu dotkniętych „morbo gallico“. Szczególną ofiarność okazywała zakonowi Jezuitów, za jej ofiarnością dźwignął się bowiem pierwotny ich kościół, na który ofiarowała gotówkę i cegły. W życiu prywatnem skromna i mało dla siebie wymagająca, pełna pogardy dla zewnętrzności i braku zamiłowania do wygód życiowych, obok dodatnich stron charakteru wykazywała i ujemne: drobiazgowość w interesach, uciskanie dłużników, praktyki spekulacyjne. Z biegiem lat, owładnięta pewnym mistycyzmem i zapałem kościelnego jałmużnictwa, fundowała kościół św. Zofji, przeznaczyła znaczne legaty dla Jezuitów, projektowała stworzenie lecznicy, którą obwarowała znacznym legatem, pełniła pozatem drobniejsze dzieła humanitarne, co wszystko było dowodem niemałych jej zasług wobec miasta.



Przedmieszczanka lwowska, Jaśkiewiczowa.



Dziewczyna lwowska z XVI wieku.

* * *

Dzieje lwowskich kościołów i instytucyj kościelnych, klasztornych i szpitalnych związane są z nazwiskami ofiarnych i innych kobiet. Ostrogórska wzniosła świątynię pod wezwaniem św. Marka, szlachcianka Anna Pstrokońska kościół św. Magdaleny, Jadwiga Boimowa była współfundatorką pięknej kaplicy na cmentarzu kościoła archikatedralnego, Słońska zrestaurowała kościół Matki Boskiej Śnieżnej, a Ormianka Augustynowiczowa kierowała przebudową katedry ormiańskiej.

Co druga mieszka lwowska nosiła imię Nety lub Grety, Kachny lub Zuzi. W latach panieńskich były „lubkami“, „duszkami“ czy „klejnotami“, — w późniejszem życiu „przyjaciołmi“ swych mężów. Szły w życie pełne energii i zdumiewającej ruchliwości, z własnej nieraz pracy utrzymywały rodzinę, zapewniając sobie poważne stanowisko w społeczności lwowskiej. W asymilacyjnej akcji polskiego społeczeństwa odgrywały wybitną rolę. Liczni przybysze z dalekich nieraz stron ulegając wdziękowi mieszczaneczek lwowskich, pozostawali w mieście, wiążąc się z niemi małżeńskim węzłem na całe życie. Podobnie wielu ze szlachty wprowadzało je na ślubny kobierzec, to też słusznie głosiła późniejsza piosenka: „Lwowie, to rzecz niepojęta, skąd ty masz takie dziewczęta“.

Znaną była ich elegancja, zewnętrzna ogłada, wybitna inteligencja. Lubowały się na sposób wschodni w klejnotach i perłach, o czem nadto mówią inwentarze pośmiertne. Nadzwyczaj ofiarne w chwilach krytycznych umiały rozwinąć niespożytą energję i nadzwyczajną ofiarność, jak np. Anna Dorota von Frezen-Chrzanowska lub mieszczka Słoniowska, która w pamiętnym roku 1648 w kościele OO. Bernardynów pomiędzy niezgodnych dostojników rzuciła swe całe mienie, błagając Jeremiego Wiśniowieckiego o ratowanie miasta i Ojczyzny.

W drugiej części swej cennej pracy

autorka oświetla kobietę pod zaborem austrjackim, podkreśla patrjotyzm jej w ciągu XIX. w., oświetla jej zasługi społeczne i kulturalne, wskazując na to, że wobec uzasadnionych podstaw oddania jej należnej czci, dzieje pełnej zasług kobiety Lwowianki czekają opracowania.

* * *

Dwie piękne rozprawy Dr. Łucji Charewiczowej stwierdzają dowodnie, że w dziejach miasta należy się kobiecie lwowskiej poczesne miejsce ze względu na wytrwałość jej współpracy z mężczyzną w budowaniu tych dziejów, jak niemniej ze względu na jej pracę samodzielną. Zdobyła ona bowiem cześć za rozumną troskę o los powierzonej jej pieczy pokoleń, za niewygasłą wiarę w możliwość zmartwychwstania Ojczyzny, za umiłowanie dobra i piękna.

Obie omówione powyżej rozprawy, wydane ze znanym erudytyzmem autorki, tworzą poważny dorobek na terenie piśmiennictwa, leżącym od lat w tej dziedzinie odłogiem.

A. M.

Niemiła nocna przygoda IMci Pana raycy Szolca Stancla

Kronika kryminalna lwowskiego grodu w r. 1635 przepełnioną była szeregiem krwawych zajść, które sporo użyczały zajęcia zarówno urzędowi radzieckiemu, jak i sądowi ławniczemu, a gdy przestępcą był szlachcic i sądowi „złożonemu" ze starosty grodzkiego i prześwietnych panów rajców, jako jedynie powołanemu do rozsądzania spraw między szlachcicem a mieszczaninem. Na codziennych niemal sesjach tych sądów sprawy ciągnęły się niby rzemiennym dyszlem przez szereg tygodni i zaledwie sentencja sądowa w jednej była wypowiedziana, już dziwnym zbiegiem okoliczności nowa wypływając na wokandę sądową, przykuwała do sali radzieckiej czy sądowej rajców czy ławników, zajmując pozatem uwagę sławetnego mieszczaństwa, śledzącego w niedużym grodzie z zainteresowaniem niedole życiowe tego czy owego członka społeczności miejskiej. Głośną w tym roku była sprawa pobicia chirurga Tomasza Galatowicza i Wojciecha Zagórskiego, pomocnika w sztuce chirurgicznej, przez hajduków IMci Pana Jana Mariana, kapitana piechoty cudzoziemskiej, — niemniej głośną sprawa kupców szkockich, których przy wyjeździe ich bryk z miasta ciężko poturbowali i poranili hajducy starosty grodzkiego czy też sprawa szlachcica Mikołaja Kamieńskiego, grasatora na drogach publicznych, czy wreszcie IMci Pna rajcy i burmistrza Walentego Szolca Stancla.

Ciszę nocną 18. grudnia 1635 r. zakłócił o godz. 4-tej nad ranem rozgłośny tumult, który spłoszył sen z oczu mieszkańców najbliższych kamienic i okna ich zapełnił przerażonymi widzami ulicznej sceny. Szeroko rozbrzmiewał krzyk kilku atakujących samotnie przechodzącego ulicą patrycjusza miejskiego, rozlegał się szczęk szabel, tupot biegnących z ratusza na miejsce zajścia cepaków, którzy niebawem sprawców napadu na patrycjusza prowadzili do ratuszowej strażnicy.

Okazało się niebawem, że napadniętym i zranionym został w tej nocnej awanturze rajca i burmistrz Walenty Szolc Stancel. O wspomnianej porze powracał on do swego domu i już bliskim był jego bram, gdy w tem z kamienicy krawca Zemlica wyszło wielu hajduków zamieszkałego tam Krzysztofa Wapowskiego i bez najmniejszej ze strony dygnitarza miejskiego przyczyny z aatakowało go brutalnie. Szolc nie od parady nosił szablę na rzemieniu, to też rychło sięgnął do tego ostrego argumentu, a gdy na krzyk napadniętego wypadł z pobliskiej kamienicy syn jego z pomocą ojcu, rozpoczęła się na ulicy regularna, miniaturowa potyczka. Pięciu hajduków z jakiemś nieopisanem zacietrzewieniem atakowało, rajca i syn jego bronili się zapamiętale. Ale hajducy tak ostro „przycinali", że jeden z nich ugodził szablą burmistrza w rękę i odciął mu palec. i byliby obaj Szolcowie w tej zaciętej, a niezawinionej rozprawie ulegli przewadze napastników, gdyby w ich obronie nie zaświstały cepy straży miejskiej, która na odgłos tumultu z ratusza nadbiegła i kres nocnej awanturze położyła.

Nazajutrz całe miasto zaalarmowane zostało wcześnie o ciężkiej przygodzie rajcy Walentego Szolca Stancla. Już o wczesnej rannej godzinie pod wrażeniem zajścia zbierali się radni w radzieckiej sali, niebawem przybył z Niskiego Zamku starosta grodzki, Stanisław Bonifacy Mniszek, aby wspólnie z Urzędem radzieckim odbyć sąd nad przytrzymanymi hajdukami. Gdy członkowie „iudicium compositum" byli już w komplecie — cepacy przyprowadzili na salę przytrzymanych napastników: hajduków Jana Sroczkowskiego, Jana Charzowskiego, Piotra Groźnego i Herwata Wołocha, piąty Andrzej Siekliński, korzystając z zamieszania w chwili przybycia straży miejskiej zbiegł do gospody, w której mieszkał pan jego Krzysztof Wapowski.

I rozpoczęła się rozprawa, na której oskarżyciel publiczny, Wojciech Sionczowski wniósł oskarżenie przeciw pięciu wymienionym o napad uliczny ciężkie zranienie oraz zaburzenie pokoju pospolitego i w myśl przepisów Statutu Toruńskiego wystąpił z wnioskiem o karę gardłową, wkońcu zażądał bezwłocznego przytrzymania zbiegłego Siekliński ego i dostawienie go na ławę oskarżonych.

Wysłany po Sieklińskiego woźny generalny, Wojciech Mogilski po powrocie złożył przed sądem relację, iż w mieszkaniu IMci Wapowskiego zastał Sieklińskiego, którego urzędownie wezwał do natychmiastowego udania się na ratusz i wówczas Wapowski oświadczył woźnemu, że zaraz sam zjawi się w ratuszu i stawi przed sądem Sieklińskiego.

I rzeczywiście Wapowski przybył na salę radziecką, lecz jawił się sam, doradziwszy zapewne Sieklińskiemu, aby czemprędzej z miasta uchodził, z której to rady aresztowany już hajduk nie omieszkał czemprędzej skorzystać. Pełen tupetu Wapowski wystąpił w obronie swych hajduków, którzy posiekli w nocy i porębali", przyczem oświadczył, że przed sąd Sieklińskiego dlatego nie stawił, gdyż ten wyraźnie mu oświadczył, iż w tumulcie nie brał udziału.

A potem zarzucił sądowi niekompetencję, a gdy sąd uznał się kompetentnym, wniósł apelację do Jego Królewskiej Mości, a po jej odrzuceniu przez sąd, zarzucił mu znów, iż jest niezupełny gdyż brak w jego gronie pisarza grodzkiego, oświadczono mu jednak, że Statut Toruński nie wymaga jego obecności, — poczem zabierali głos oskarżeni, wskazując na to, że sąd zebrał się bez prawnej podstawy, albowiem występujący z oskarżeniem Walenty Szolc - Stanzel nie wykazuje, kto go ranił, a z drugiej strony i ci sami obwinieni odnieśli rany a nawet ważyli zdanie, że w takim tumulcie syn ojcu mógł odciąć palec. Zresztą mówili „nie wszyscy my czterej palec odcięli i nie powinni my tu stawać, dopóki actor nie dowiedzie, kto mu palec uciął".

Lecz oskarżyciel publiczny szybko rozwiał pozory obronne zarówno Wapowskiego, jak i jego oskarżonych hajduków a sąd przystąpił do rozpatrzenia sprawy, która zwyczajnym potoczyła się trybem.

Na następnej sesji sądowej Szolc przedstawił sądowi odcięty mu palec i szablę napastnika, a dalszy przebieg rozprawy wykazał, iż głównym napastnikiem i sprawcą okaleczenia rajcy Szolca był osk. Jan Charzowski, który najbardziej zarówno na niego, jak na śpieszącego mu z pomocą syna „przycinał". Wobec tych wyników przewodu sądowego Szolc wezwany został do złożenia przysięgi według tej roty: „iż on bez przyczyny sobie danej pokój i bezpieczeństwo pospolite, prawami obwarowane, zgwałcił i onemu palec uciął i że oni z dobytemi szablami na actora siekli, następowali i gołem orężem tumult i gwałt czynili". A gdy już Szolc przystępował do złożenia tej przysięgi, oskarżeni oświadczyli, iż go od niej zwalniają.

Po zamknięciu postępowania dowodowego „iudicium compositum" wydaje wyrok:

— „Sąd uznając Jana Charzowskiego jako głównego sprawcę zaburzenia pokoju pospolitego i dokonanego zranienia, skazuje go na podstawie Statutu Toruńskiego i konstytucyj Królestwa, wydanych w sprawie bezpieczeństwa tego miasta, na karę garłową. Zważywszy dalej, że Jan Sroczkowski i Piotr Groźny jako współuczestnicy gwałtu zasłużyli na cięższą karę, jednak sąd stosuje łagodniejszą, skazując obu po 100 grzywień na rzecz Szpitala św. Ducha i trzymiesięczne więzienie w kazamacie Wysokiego Zamku".

Czwarty oskarżony, Herwat Wołoch usunął się tymczasem z pod zagrażającego mu wyroku, albowiem w czasie przewodu sądowego zmarł skutkiem odniesionych w nocnem zajściu ran.

Oskarżeni wnieśli apelację od wyroku do Jego Królewskiej Mości, ale sąd nie dopuścił do niej ze względu na jednomyślność w ferowanym wyroku.

Niebawem woźny generalny, Wojciech Mogilski ze stopni ratusza głosił w sprawie piątego oskarżonego, zbiega: — „Wiedźcie o tem wszyscy, iż Andrzej Siekliński o tumultu wzniecenie i pokoju pospolitego zgwałcenie bezecnym, tej czci odsądzonym z decretu sądu tak IMP. Starosty, jak i P. P. Radziec lwowskich został i taką infamią Sąd wykonać i obwołać rozkazał"..

A. M.

Notatki lekarskie

SZTUCZNA KREW

Lekarz naczelny szpitala w Omaha (Nebraska) dr. John Summers, opublikował niedawno w fachowych czasopismach amerykańskich interesujący artykuł o sensacyjnem odkryciu „sztucznej krwi", dającej się zastosować z powodzeniem w niektórych wypadkach patologicznych.

Podczas swej podróży naukowej po Indochinach dr. Summers zaobserwował, że tubylcy zamiast stosować transfuzję krwi ludzkiej, ratują ludzi ciężko rannych, którzy utracili duże ilości krwi, przez zastrzykiwanie im do żył jakiegoś tajemniczego płynu. Jak się pokazało, płyn ten uzyskują przez macerowanie młodych łodyg pewnego gatunku ljanów.

Dr. Summers początkowo odnosił się do tego proceduru bardzo nieufnie. Po dłuższych, sumiennych badaniach stwierdził jednak zdumiewające podobieństwo tego chlorofilu roślinnego z hemoglobiną. Udało mu się uzyskać chemicznie czysty ekstrakt z odnośnych roślin, a nawet uzyskać go syntetycznie w swojem laboratorjum.

Pierwsze próby z tym ekstraktem, przeprowadzone na zwierzętach, wypadły nadspodziewanie pomyślnie. Między innemi uratował on zapomocą injekcji tego ekstraktu rasowego konia wyścigowego, który skutkiem upadku utracił dużo krwi i uważany był za straconego.

Zachęcony powodzeniem, stosował dr. Summers ten sam proceder u szeregu ludzi; były to wypadki beznadziejne, w których „sztuczna krew" ocaliła pacjentom życie. Natomiast injekcje te nie pomagają w wypadkach ostrej anemji.

Zamało jeszcze dotychczas materjału, by można w całej pełni ocenić wartość tego odkrycia dla medycyny. W każdym razie sama rzecz zasługuje na baczną uwagę: „sztuczna krew", którą można stosunkowo łatwo produkować i przechowywać, może oddać nieocenione usługi w wielu wypadkach, gdy każda minuta decyduje o życiu pacjenta, a trudno znaleźć jest napoczekaniu „dawcę krwi", zwłaszcza, że — jak wiadomo — do transfuzji krwi użytą być może tylko krew tejsamej grupy.

SZCZURY „SODOKU" I KIŁA

Pisaliśmy w swoim czasie o egzotycznej chorobie „sodoku", powstającej u ludzi skutkiem ukąszenia przez szczury. „Sodoku" jest chorobą zaraźliwą, znaną od dawna w Japonji, a pojawiającą się niekiedy i w Europie, gdzie pierwszy klinicznie stwierdzony jej wypadek zanotowano w r. 1884.

Dzisiaj nie należy ona już do rzadkości; w Londynie np. stwierdzono obecność zarazków „sodoku" u 25% dzikich szczurów.

Choroba „sodoku" ma przebieg podobny jak kiła w początkowem stadjum. W dwa do trzech tygodni po ukąszeniu występuje gorączka z dreszczami, siny obrzęk w miejscu ukąszenia, a następnie wysypka. Na ogół choroba ma przebieg łagodny, a śmiertelność, w wypadkach nieleczonych odpowiednio, nie przekracza 10%.

Chorobę wywołują krętki, nazwane przez lekarzy japońskich, którzy je odkryli, „spirochaeta morsus muris".

Otóż od roku 1925 stosuje się „sodoku" jako środek leczniczy w ciężkich schorzeniach na tle kiły, jak tabes i paraliż postępowy. W tym celu albo szczepi się sodoku na ramieniu, podobnie jak ospę, albo zastrzykuje się go podskórnie.

Ostatnio wprowadzono terapję zapomocą sodoku w szpitalu „Kochanówka" w Łodzi, uzyskując w większości wypadków wyraźną i znaczną poprawę.

Wielką zaletą tej kuracji jest, że można ją stosować w wypadkach, gdy leczenie zapomocą malarji, — czy to z uwagi na serce czy wiek pacjenta, — nie jest wskazane.

(dr. L.)

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Peleryny i „capes" stały się jednem z najpopularniejszych okryć. Nosi się je przez cały dzień, sukienne, aksamitne, futrzane. Długość rozmaita, przeważnie sięgają one do przegubu ręki.

Na wieczór długie capes, z tegoż materjału co suknia, ale koniecznie pod bite materjałem w innym kolorze. Nader efektownie wygląda np. przy wieczorowej atłasowej białej sukni peleryna podbita aksamitem w żywym czerwonym kolorze.

W stylu wojskowym jest dość obcisła peleryna z czarnego sukna, z niskim stojącym, aksamitnym kołnierzem.

— Płaszcze sportowe przeważnie z tweedu lub z grubej przerabianej wełny. Rękawy raglanowe.

— Najmodniejsze rękawiczki są bardzo krótkie, zakrywają zaledwie dłoń.

— Dużo kasaków trykotowych, oraz ręcznej roboty szydełkowej lub na drutach .

— Spodniczki przy sukniach spacerowych i wizytowych wąsko krajane, jedynie tył kloszowy.

— Przy sukniach wieczorowych dużo haftów, sutaszu, bort srebrnych i złotych. Dużą ich ozdobą są również szerokie paski skórzane ze złotej skóry, — albo też nabijane różnokolorowemi kaboszonami.

— Koszule nocne, długie do samej ziemi, przypominają krojem swym czasy renesansu. Pod szyją małe, okrągłe wycięcie, zmarszczone zapomocą wstążki, wiązanej sprzodu. Na taką samą wstążkę wiąże się u dołu rękawy, długie i szerokie. Do tego wstążka w pasie, zawiązana sprzodu na kokardkę.

— Bardzo elegancko i dystyngowanie wygląda kostjum z czarnego aksamitu, przybrany czarnym barankiem krymskim.

— Suknie wieczorowe z lamy, aksamitu, tafty i jedwabi. Szczególnie ulubionym jest jedwab cloqué, wygniatany w rozmaite desenie.

Rękawy przy nich przeważnie krótkie, do łokcia, lub trzyćwierciowe.

— Z kolorów przedewszystkiem czarny, zawsze jednako praktyczny. modny i elegancki. Pozatem — granat zielony i bronzowy w licznych odcieniach.

Jeszcze o futrach

Jakby na przekór kryzysowi i postępującemu zubożeniu — tegoroczna moda zimowa stoi bezapelacyjnie pod znakiem futra.

Futrzane krawatki, etole, kołnierze, mankiety, bolerka, kamizelki, całe rękawy płaszcza; jednem słowem, gdzie spojrzeć, wszędzie futro!

A obecnie, z nastaniem pierwszych mrozów, pojawiają się i żakiety i płaszcze i peleryny futrzane.

Faworytem sezonu będą prawdopodobnie astrachany, z któremi skutecznie konkurują breitszwance. Ale te ostatnie można z pełnem powodzeniem zastąpić znacznie tańszym agneau rasé.

Z innych gatunków futer dużem powodzeniem cieszą się wydry, bobry i foki. Nutę egzotyczności wnoszą żakiety z ocelota, lamparta i innych dzikich mieszkańców puszczy.

Nowością są futrzane rękawiczki i torebki, noszone naturalnie tylko w ciągu dnia.

Lisy — owe srebrne lisy! — służą tylko jako przybranie do płaszczy. Robi się też z nich pelerynki.

Naogół królują futra o płaskim włosie.

Kapelusze zimowe

Jest to ta domena mody, w której fantazja i pomysłowość mają chyba najszersze pole do popisu. Niema tu żadnych ścisłych kanonów: modnym jest każdy fason, byleby był „twarzowy".

Na ogół kapelusze wykazują wybitną tendencję... w górę. A więc główki wysokie, spiczaste, przypominające po niekąd czapkę frygijską, albo znów czapki sowieckie czy smukłe wieżyczki pagod. Są to jednak wszystko modele, trącące ekstrawagancją, nie dla każdej twarzy i sylwetki odpowiednie.

Spokojniejsze już są toczki, przybrane pękiem piór, na wzór czapek... bersaglierów włoskich, — albo też przybrane stylu jednem tylko, zawadjacko sterczącem piórkiem, Na ilu-





stracji widzimy właśnie model takiego toczka filcowego, obramowanego krymskiemi barankami.

Elegancko a skromnie prezentuje się drugi model kapelusza, o podniesionej sprzodu krysie, z tkwiącym nad czołem klipsem z błyszczącego strassu.

Wreszcie bardzo milutki i naprawdę „twarzowy" jest trzeci model, przybrany czarną aksamitką i skrzydelkiem.

Ostatnio pojawiły się modele „półkapeluszy", odsłaniających zupełnie tył głowy i szyję, a mocno nasunięte na czoło. Praktyczne o tyle, że nie zawadzają przy wysokim kołnierzu futrzanym. Przytrzymuje się je sznurecz kiem lub wąską wstążką pod włosami.

Kokardy, kwiaty, pióra, frendzle, pompony, stanowią nieodzowne przybranie każdego kapelusza, nadając mu pewny charakterystyczny, odrębny styl No i woalki, których w miarę zbliżania się zimy widzi się coraz więcej.

—0—

DAJCIE DZIECIOM DOBRY PRZYKŁAD!

Jedno z czasopism amerykańskich zamieściło kilka ciekawych pytań, dotyczących wychowania dziecka przez matkę:

1. Czy możecie matki wymagać od dziecka, aby nie trwoniło pieniędzy, kiedy same nigdy nie umiecie oszczędzać?

2. Chcecie, by dzieci były wyrobione życiowo, zaradne i odporne, ale same narzekacie, jeśli was spotka drobne niepowodzenie życiowe?

3. Żądacie, by dzieci wasze były dobre i uprzejme dla każdego, uważajcie więc, aby miały sposobność przejąć te cechy od swego otoczenia, a przedewszystkiem od swych rodziców.

4. Myślicie, że wasze dzieci potrafią się opanować, kiedy wam samym często brak cierpliwości i nie umiecie nad sobą zapanować.

Od was więc, matek, zależy, jakiego człowieka ze swych dzieci wychowacie.

Poradnik dla gospoś

ZUPA GRZYBOWA

Zupę tę gotuje się zwykle na podróbkach gęsich lub kaczych, chociaż można ją robić i na mięsie wołowem. Ugotować zwykły rosół z włoszczyzną i kilkoma grzybami, osobno zaś ugotować filiżankę kaszy perłowej, włożyć łyżkę masła i rozbić do białości, poczem wlać kwaterkę śmietany rozprowadzić rosołem i podać na stół, pokrajawszy wpierw ugotowane grzyby w cienkie paski.

BARANINA DUSZONA Z GROSZKIEM

Nastawić mostek barani, łopatkę lub nerkówkę na krótko z jarzynami i cebula. Osobno ugotować z masłem kwartę zielonego groszku, dodawszy do niego łyżeczkę cukru. Gdy mięso ugotowane, pokrajać go w kawałki, rosół zaprawić łyżką mąki z pół łyżką masła, wrzucić do potrawki uduszony groszek, dodać garść siekanego kopru, podusić razem i wydać, ułożywszy groszek na środku półmiska, a naokoło kawałki mięsa.

JABŁKA SMAŻONE W CIEŚCIE

Cztery lub pięć jabłek kwaskowatych i kruchych, obrać, wydrążyć środki i pokrajać w talarki. Osobno przygotować następujące ciasto: trzy całe jaja, ćwierć kwarty niepełne kwaśnej śmietany, trochę cukru i tyle mąki, aby ciasto było gęste i utrzymało się na jabłkach. Rozbić dobrze w garnuszku, maczać w niem na widelcu jabłka i smażyć na rumiany kolor w rozpalonem maśle. Potem wyjmować je na półmisek i posypać cukrem z wanilja. Masło powinno być tyle, aby jabłka przykryło.

DOSKONAŁA ZUPA Z SERA

Do rosołu lub smaku z kości wsypać, licząc na talerz zupy, łyżkę tartego sera szwajcarskiego, raz jeden zagotować i podawać z pasztecikami lub grzankami

ZUPA AMATORSKA

Poszatkowane jarzynki udusić w maśle z solą na miękko, włożyć do wazy. Do mocnego rosołu wołowego wlać portweinu tyle, aby smak jego był wyraźny, nie gotować, tylko gorącym zalać jarzynki. Do każdego talerza zupy wpuścić ostrożnie całe żółtko. Osobno podać grzanki z bułki, obrumienione na maśle

PULARDA Z PAPRYKĄ

Oczyszczoną, ładną pulardę napełnić wymytym i sparzonym ryżem, zmieszanym z łyżką masła i solą. Nie dawać ryżu zbyt pełno, gdyż w gotowaniu spęcznieje. Włożyć w rondel dosyć ciasny, żeby nie trzeba nalewać obficie wody, zalać tyle, żeby pokryło, dodając włoszczyzny, jak do rosołu i gotować 50—60 minut, w zależności od miękkości kury. Kiedy potrawa gotowa, scedzić rosół, zaprawić śmietaną na gęstawy sos i dodać do smaku i koloru miałkiej, najlepszego gatunku papryki. Kurę rozkroić, oblać sosem, resztę sosu dać w sosjerce.

RYŻ NA ZIMNO

Ryż sparzyć i ugotować w mleku z cukrem, kawałkiem cynamonu, trochę soli i skórką cytrynową na papkę miernej gęstości, następnie cynamon wyjąć, ryż, wymieszawszy go dobrze, włożyć do przepłókanej zimną wodą foremki. Po ostudzeniu wyjąć z formy na salaterkę i oblać sosem owocowym, lub obłożyć wiśniami czy też ugotowanemi w syropie gruszkami.

PIECZEŃ Z DZIKA

musi leżeć w bajcu 5—6 dni. Bajc musi być ostry, zawierać dużo korzeni, cebuli, pietruszki, oraz skórkę okrojoną z cytryny. Mięso należy w bajcu codziennie odwracać, aby się wszędzie równo odleżało. Po wyjęciu z bajcu, osusza się je serwetą, zbija pałką, obrumienia na maśle i dusi potem na jarzynach i cebuli, podlewając bajcem. Gotową wyjmuje się z sosu, który wraz z jarzynami przeciera i zaprawia ostrą przyprawą, np. sosem angielskim. Mięso kraje się w plastry, układa na półmisku i oblewa przetartym sosem.

CZYSZCZENIE TKANIN WEŁNIANYCH

Do czyszczenia wełny najlepiej używać kory Quillaja. Jest to środek bardzo tani. Korę zalać dużą ilością zimnej wody, pozostawić tak przez kilka godzin, najlepiej przez noc. Potem ogrzać aż do zagotowania, lecz nie zagotować, gdyż staje się wtedy mniej skuteczna.

Schłodzoną do 40 stopniowej temperatury zalać tkaninę, którą chcemy oczyścić. Pozostawić tak przez kilka godzin, czyścić przez ugniatanie, nie zaś przez tarcie. Wypłókać w letniej wodzie. Wełny należy zawsze prać i płókać w wodzie 40—20 stopniowej, gdyż w przeciwnym razie tkanina staje się twarda.

Z WYDAWNICTW

„Moje dziecko", miesięcznik. Rok I. nr. 1. Pojawił się pierwszy numer tego wydawnictwa, poświęconego sprawom przedszkoli i wychowania przedszkolnego, a redagowanego przez Związek polskiego nauczycielstwa przedszkoli i wychowawców.

Poza artykułem programowym znajdujemy w niem artykuły: **Dziecko idzie do przedszkola, Dawna „ochrona" i dzisiejsze przedszkole** oraz **Prawidłowy dzień dziecka.** Treść przedstawia się dość ubogo. Może następne zeszyty wykażą poprawę.

Prenumerata kwartalna **60** gr., numer pojed. 20 gr. Adres redakcji: Warszawa, Marszałkowska **53 a.**

—0—

...Tu Lwów i wszystkie rozgłośnie

Jako recenzentka radjowa mam do zanotowania bardzo miły fakt, ten mianowicie, iż rozgłośnia lwowska powoli lecz stale wraca do swej dawnej aktywności, stając się znowu żywszą i wydajniejszą. Ten kto obserwował przez pewien czas pracę radjostacji lwowskiej, mógł wyraźnie rozróżnić okres zmniejszenia jej działalności, przypadający na miesiące letnie i obecny — zwiększenia. Wahania takie są do pewnego stopnia nieuniknione i wypływają z naturalnego biegu rzeczy, zawsze jednak przyjemniej jest skonstatować, iż lwowscy speakerzy coraz częściej oznajmiają całej Polsce: „Halo, tu radjo Lwów".

Słowa te słyszeliśmy w ubiegłym tygodniu kilkakroć, przed audycjami najrozmaitszych typów, choć przeważały w nich audycje wesołe i lekkie. Jest to ciekawe zjawisko, iż największa ilość śmiechu i humoru spływa na nasz kraj z anten Lwowa.

Lekka audycja „Bunt bajek" wprowadziła nas do gabinetu pracy wydawcy książek dla młodzieży, który w zapale nowatorskim skreśla z wydań dla młodych czytelników wszystkie bajki. Jego senne marzenia, w których ujrzał świat i bohaterów bajek i baśni, stanowiły właściwą treść audycji; miłe i dowcipne piosenki urozmaicały dobrze pomyślaną i skonstruowaną całość, której tempo i wykonanie było bez zarzutu.

Migawka regjonalna nadawana przez naszą rozgłośnię p. t.: „Rynek lwowski", dzięki swym ciekawie zestawionym obrazkom ukazała całej Polsce w prawdziwie migawkowym skrócie profil życia tego centrum miasta. Obrazki te znakomicie podpatrzone i oddane, świetnie charakteryzowały specyficzny „styl" lwowskiego rynku; słabszą natomiast była część historyczna. — W pogadance „Kajakiem — w drodze do Indyj" opowiedział autor dr. Korabiewicz fragment swych przygód doznanych przy wybrzeżach Turcji. Feljeton wzbudzający zresztą spore zainteresowanie, miał pewną zasadniczą wadę, a mianowicie był miejscami zbyt urywkowy i fragmentaryczny. Oczywiście wypływało to z jego konstrukcji dostosowanej do ograniczonego czasu audycji radjowej, lecz kto wie, czy nie dałoby się tego uniknąć przy staranniejszem opracowaniu.

Nadawany w dniu 11-go listopada „Raport pracy", audycja zbiorowa wszystkich rozgłośni polskich, w pomyśle swym zasługiwała na wysokie uznanie, jednak realizacja jej nasunęła parę krytycznych uwag. Jedną z najważniejszych wad tej audycji, to niepotrzebna i wprost nużąca jej rozwlekłość. „Raport pracy" zamiast w siedmiu, mógł być zamknięty w czterech kwadransach, przez co zyskałby na sile wyrazu. — Z dziecinnej audycji p. t.: „Jesienią — liście się rumienią" na wyróżnienie zasługiwało jedynie wspomnienie z Obrony Lwowa w 1918 roku. I choć niektóre dzieci słyszały je już po raz drugi, zaznaczyć muszę, że obrazek ten w całej pełni nadawał się na powtórzenie.

Prof. Leon Chwistek w „Kilku słowach o plastyce" powiedział nam wiele słów pięknych i ciekawych, a wzbudzających oddźwięk w duszach słuchających. Szkoda jednak, że jego obrazy jako tworzywo artystyczne (które mogliśmy oglądać na jednej z ostatnich wystaw we Lwowie) nie stwarzały takiego kontaktu duchowego między widzem a artystą, jaki istniał między słuchaczem a prelegentem. Prelegentem, który z całą wnikliwością uczonego dotykał zasadniczego zjawiska, jakiem jest współczesne ustosunkowanie się szerokich warstw do plastyki nowoczesnej. O jednej rzeczy prof. Chwistek nie wspomniał, a może jej nie zauważył: że wielu inteligentnych ludzi, mających duże poczucie artystyczne, a brzydzących się snobizmem nakazującym jeśli nie chwalić, to przynajmniej nie ganić rozlicznych... izmów w plastyce, zraziło się zupełnie do odszukiwania w nowoczesnych tworzywach artystycznych, źródeł głębokich przeżyć wewnętrznych. A to jedynie z tego powodu, że ludzie ci w swych pierwszych poczynaniach na tem polu zetknęli się z tem, co poprostu możnaby nazwać krótko i zwięźle a bez pardonu „bezczelnością".

Jeszcze nigdy może w sztukach nie tylko plastycznych, ale i literackich czy muzycznych, nie żerowano pod pozorem nowych sposobów wyrażania sztuki tak, jak się to dzieje obecnie. Kto wie, czy nie w tem należy upatrywać tej rozbieżności między twórcą dzieł a odbiorcami wrażeń. Ileż to bowiem razy wobec nowoczesnych wyczynów artystycznych chciałoby się powtórzyć historję o „szacie mądrości" znaną z bajek Andersena. Jedna dłuższa ręka na obrazie, o której wspomniał prof. Chwistek, mogłaby powstać z idei artysty, a nie z jego nieznajomości perspektywy, anatomji, czy nawet techniki rysunkowej. Rysunek zaś dziecka jest obrazem typowym dla ewolucji możliwości w danym kierunku. Dziecko nawet zupełnie nieuczone, — w miarę postępu lat rysuje coraz „harmonijniej", a przechodzą to wszyscy ludzie, tylko, że linja rozwojowa rozmaicie się zatrzymuje; zaś u artystów - plastyków powinna wybiegać bardzo daleko poza możliwości ogółu, w przeciwnym bowiem razie, wszyscy byliby artystami, a uwzględniając ambicje ludzkie — co drugi człowiek zużywałby na taką „artystyczną" robotę swój czas. Wystawy przypominałyby zbiory okazowe z przedszkoli. Jakież pole do wybicia się dla ludzi z tupetem!

W książce Tadeusza Zielińskiego: „Świat antyczny: Grecja Niepodległa" znajduje się piękny szkic „U garncarzy na Ceramiku". W końcowym jego ustępie zawarte są uwagi o przyczynach upadku malarstwa wazowego i całej gałęzi tej sztuki; jak bardzo słowa te są dziś aktualne w odniesieniu do współczesnej nam plastyki.

Wieleby można jeszcze powiedzieć i napisać na ten temat; szczupłe ramy krytyki radjowej nie zezwalają jednak na to. Wszakże to co napisałam, niech będzie dowodem, że feljeton radjowy prof. Chwistka był bardzo aktualnym i na czasie.

IRENA NAŁĘCZ.

Niepotrzebne alarmy

Wspominaliśmy w swoim czasie o projekcie rozbudowy radjostacji lwowskiej. Sprawa ta weszła obecnie w stadjum realizacji — i prawdopodobnie już z wiosną 1936 roku uruchomioną zostanie nowa radjostacja lwowska, o mocy 50 KW, — a więc mocy wręcz imponującej jak na nasze stosunki.

W ten sposób spełniony zostanie jeden z najbardziej piekących postulatów radjofonji polskiej. Bo naprawdę radjostacja Lwów znajdowała się dotychczas w wyjątkowo trudnej sytuacji zagrażana konkurencją potężnych radjostacyj sowieckich, zagłuszana przez inne stacje sąsiednich krajów, jak Czechosłowacja, Rumunja, a nawet Węgry.

W tej połaci Europy była naprawdę skromnym kopciuszkiem, a zasięg jej nie wybiegał poza granice Polski. Co gorsza, nawet w dalszych okolicach Małopolski wschodniej musiała z konieczności ustępować miejsca silniejszej konkurencji zagranicznej.

Zdawaćby się zatem mogło, że wszyscy, a już w pierwszym rzędzie mieszkańcy samego Lwowa przyjmą z zadowoleniem i z radością wiadomość o rozbudowie i tak znacznem powiększeniu mocy lwowskiej radjostacji. Przecież idzie tu o nasz prestige! Idzie o rzecz wielkiej wagi, mającą duże znaczenie i kulturalne i nawet polityczne.

Tymczasem — cóż się dzieje? Oto już obecnie podnoszą się głosy protestu i krytyki ze strony najmniej oczekiwanej, bo ze strony lwowskich radjosłuchaczy.

Robi się wiatr... A to, że trzeba będzie kupować eliminatory, a to, że musi się wyrzucać posiadane dotąd odbiorniki, a na ich miejsce nabywać nowe... Więc krzyk: poco narażać nas na nowe wydatki w tych ciężkich czasach?

I odrazu życzliwe rady: przenieść całą radjostację o kilkadziesiąt kilometrów poza Lwów. Może do Bursztyna, Chodorowa, Kamionki Strumiłowej, Złoczowa?...

Alarmy te określić musimy jako przedwczesne, niepotrzebne, a nawet szkodliwe.

Pamiętajmy bowiem, że radjostacja lwowska obsłużyć powinna i musi nietylko sam Lwów, ale i całą Małopolskę wschodnią i nasze kresy wschodnie, że na jej falach płynąć będzie polska mowa i polska pieśń daleko poza kordony graniczne, na pokrzepienie serc naszych rodaków na obcej ziemi.

Więc nie wolno zamykać się nam w ciasnym partykularyźmie lwowskim, — a wręcz przeciwnie, powinniśmy być gotowi nawet do pewnych ofiar w imię doniosłej i pięknej idei.

A czy ofiary te naprawdę będą takie wielkie? Nie znam statystyki lwowskich radjoabonentów, mam jednak wrażenie, że przeważają wśród nich, i to bardzo wyraźnie, „detektorowicze". Dla nich zwiększenie tak wydatne mocy radjostacji lwowskiej jest tylko pożądane, zapewniając im lepszy i wyraźniejszy odbiór.

Kto zaś ma drogi aparat parolampowy, — ten i tak napewno posiada już oddawna eliminator. W najgorszym razie wymieni go na inny, lepszy i bardziej precyzyjny.

A kupno nowych odbiorników? Może i to w niejednym wypadku okaże się wskazanem, a nawet koniecznem. Ale w rachubę wchodzić tu może kilkadziesiąt, może paręset osób. Ilość znikoma — w stosunku do ogółu. Ten moment absolutnie nie może w danym wypadku decydować. Bo — powiedzmy sobie szczerze — kto mógł sobie pozwolić na kupno 5-lampowego odbiornika dla tego wymiana tego aparatu na inny, lepszy, nie będzie wydatkiem zbyt dotkliwym i nie leżącym w granicach możliwości.

A zresztą — radjostacja idzie w swoim rozwoju tak szybko naprzód, że najlepszy nawet aparat, zakupiony np. przed pięciu laty, wydaje się już dziś poprostu anachronizmem, niemal muzealnym zabytkiem. Więc i tak musiałoby się go wkrótce wymienić na nowszy, lub posłać na zasłużoną emeryturę.

Pocóż zatem te alarmy nie w porę? A mogą nam one raczej tylko zaszkodzić, dając niewesołe świadectwo naszej lwowskiej kulturze... radjowej. Trzeba się zdobyć na szersze spojrzenie. Trzeba się cieszyć, że zrealizowany zostanie ważny postulat, — choćby to miało wymagać pewnej drobnej ofiary.

(LUCY)

Ciekawostki radjowe

NIEMCY

— Rząd niemiecki poświęca ogromne sumy na propagandę zagraniczną zapomocą radja. Świeżo radjostacja berlińska otrzymała dwie nowe anteny kierunkowe, z których jedna będzie obsługiwać Indje i Australję, druga państwa środkowej i połudn. Ameryki.

W przyszłym roku zaś ma zostać wybudowana najpotężniejsza na świecie radjostacja krótkofalowa, z której transmitowane będą audycje na całą kulę ziemską w pięciu językach: niemieckim, angielskim, hiszpańskim, holenderskim i portugalskim.

— Muzyka jazzowa została definitywnie usunięta z programu wszystkich niemieckich radjostacyj. Zdaniem sfer decydujących, jazz odpowiadać może tylko upodobaniom i mentalności murzynów, a więc rasy, stojącej na niskim stopniu kultury. „Jazz wraca do Afryki!" — temi słowy kończy się urzędowy komunikat.

FRANCJA

— O potanienie radjoodbiorników dopominają się energicznie zarówno sami radjoabonenci, jak i czasopisma fachowe. Na ostatniej dorocznej wystawie radjowej w Paryżu dobry odbiornik 5—8-lampowy kosztował od 1200 do 2500 franków, co jest ceną stosunkowo bardzo wysoką. Wina tu w pierwszym rzędzie wytwórni radjoaparatów. Jak stwierdzono, niektóre lampki kosztują w Paryżu sześć razy więcej, niż przynajmniej równej dobroci lampki wyrabiane w Ameryce.

— Liczba radjosłuchaczy zarejestrowanych we Francji wynosiła 1 września br. ponad 2 miljony. Wedle przybliżonych oszacowań trzeba doliczyć do tego najmniej pół miljona radjopajęczarzy!

— Dzienniki paryskie podjęły obecnie kampanję o skrócenie czasu poszczególnych audycyj. Wedle ogólnego zdania żadna audycja nie powinna trwać dłużej jak godzinę, — w przeciwnym razie bowiem u olbrzymiej większości słuchaczy następuje zmęczenie i zniechęcenie.

Najpopularniejszym jak się zdaje, jest typ audycyj 15—30-minutowych.

WŁOCHY

Przemysł radjowy we Włoszech rozwija się w bardzo szybkiem tempie. Obecnie produkuje się rocznie ponad miljon radjodbiorników, przy czem znajduje zatrudnienie 7.000 osób. Z wytwórni kroczy na czele „Radiomarelli, dalej Compagnia Generale di Eletricità, Telefunken, Fimi - Fonola, Philips i inni.

Cała organizacja radjofonji spoczywa w rękach E. I. A. R. (Ente Italiano Audisioni Radiofoniche).